№ 29. Warszawa, dnia 16 (4) Lipca 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ wraz z bezpłatnym dodatkiem
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WYBRANY...

Widnokrąg europejski— że użyjemy wytartego porównania— w tygodniu ubiegłym zachmurzył się groźnie. Jest wiele prawdy w przypuszczeniu, że Niemcy, chcąc pokryć swą 100-milionową pożyczkę i odciągnąć dla niej kapitały krajowe, uderzyły całą mocą na wartości papierowe rosyjskie i rzeczywiście wywołały znaczną ich wyprzedaż. Przy tej sposobności „przyjacielski“ sąsiad posunął o krok dalej walkę ekonomiczną, którą od lat wielu prowadzi, a której celem ostatecznym jest zupełne wycieńczenie materyalne sąsiadki. Nawet śród umizgów i życzliwych wynurzeń nie ustawała robota nad tym podkopem, cios w krótszych lub dłuższych odstępach spadał za ciosem, a pomimo wahań kursów giełdy wypadkowa ich kreśli ustawiczną zniżkę wartości rosyjskich, które w rublu spadły do poziomu widocznej szykany. Zaprzeczyć jednak trudno, że na ten ich spadek w tygodniu (175 m. za 100 rs.) bieżącym wpłynęły również zdarzenia polityczne, a przedewszystkiem sprawa bułgarska, która znowu zajęła plan pierwszy.

Zdawało się, że nieuznana przez Rosyę lekceważona przez inne mocarstwa regencya, której delegatów w ich wędrówce po Europie nawet urzędownie przyjmować nie chciano, nie odważy się wezwać „sobrania“ do wyboru księcia i pozostawi go nieobliczonemu rozwojowi wypadków. Tymczasem zaryzykowała ona na tę kartę i przedstawiła jako kandydata do tronu Ferdynanda Koburskiego, którego przedstawiciele narodu ogłosili swym władcą i który tę godność w zasadzie przyjął, czyniąc objęcie rządów zależnem od zatwierdzenia Turcyi i zgody mocarstw, podpisanych na traktacie berlińskim. Przed innemi nasuwa się tu pytanie: czy był to jedynie objaw samodzielnej śmiałości regencyi bułgarskiej, czy też wynik zewnętrznej a tajemnie przeprowadzonej operacyi. Nie sądzimy, ażeby kierownicy Bułgaryi przeszli przez Rubikon bez zachęty ze strony potężnych a ukrytych sprzymierzeńców, którzy im przyrzekli poparcie. Dzienniki urzędowe Austryi i Niemiec starannie obcinają korzenie takiemu domysłowi, piętrzą obranemu księciowi wysokie przeszkody na drodze do tronu, przepowiadają udaremniający całą robotę opór Rosyi, ale są to zwykłe i znane mydliny dla umycia rąk Piłatów, a z po za wydmuchniętych na świat baniek widać, że z Wiednia i Berlina biegną ku Koburgowi miłe pozdrowienia i uśmiechy. Jeśli go wszakże wysunięto na widownię i rzucono w grę, to niezawodnie ma on spełnić przeznaczenie figury szachującej Rosyę. Jej organa — *Nord* i *Journal de St. Petersb.*, nie licząc głosujących na ochotnika — oświadczyły wyraźnie, że gabinet petersburski nie zejdzie z zajmowanego stanowiska, czyli, że nie uznawszy raz prawności regencyi i sobrania, nie uzna również każdego ich dzieła. Przypuściwszy tedy, że ks. Ferdynand jest protegowanym Niemiec i Austryi, czy te państwa, a raczej — czy pierwsze z nich wyprowadziło go jako straszaka na sąsiadkę, czy też cisnęło jako rękawiczkę, wyzywającą do walki? Znając kołowe manewry Bismarka i jego rzeczywistą obawę sprowadzenia wojny europejskiej, dostrzegamy więcej prawdopodobieństwa w możliwości pierwszej. Ustawicznie zadzierzgiwane węzły przyjaźni Rosyi z Francyą, ukazy wypierające niemców z pogranicza wschodniego, antigermański zwrot opinii rosyjskiej, wszystko to mogło skłonić „kanclerza żelaznego“ do podstawienia nogi sąsiadce na gruncie bardzo grząskim i niebezpiecznym— w Bułgaryi. Skoro ona, ujrzawszy tę nogę za cofnięcie jej zapłaci, jak dotąd płaciła, ustępstwami, Koburg natychmiast zniknie bez śladu, niby duch sceniczny. A jeżeli zastraszona nie da odstępnego? Wtedy maszynista, ukryty za kulisami, pozostawi bohatera własnemu pomysłowi lub też...

Wkraczamy w drugą możliwość — wojny. Gorętsze umysły już wnioskują, że Bismark przekonawszy się o nieuniknionej konieczności rozprawy orężnej z Francyą, w której żywioły popychające ją do odwetu coraz większą zyskują przewagę, postanowił cisnąć Austryę na Rosyę, a pozbawiwszy tym sposobem Francyę sojusznicy, rozbić ją i ubezwładnić ostatecznie. Tak głębokim nurtem płyną intrygi dyplomatyczne, że spostrzegacz widomych, na wierzch wydobywających się zamiarów rozstrzygać tu niezdolny. Co najwyżej może on wyrachowywać przyszłość najbliższą w przybliżeniu, a ta droga prowadzi nas do wniosku, że kanclerz niemiecki tylko wiatr sieje, ale burzy zbierać nie chce i wojny unika. Kończąc życie bez pewności, że jego zdobycze będą trwale, śni on zapewne nieraz o skuteczniejszem ubezpieczeniu ich za pomocą wysilonego boju, ale tę zachciankę tłumi w nim bojaźń porażki i utraty łupów, zagaszenia nad swą głową promieni aureoli, której blaskiem od kilkunastu lat się napawa i w której pragnąłby zejść do grobu. W siedemdziesiątym roku życia nie ryzykuje się takiej pozycyi i sławy, lecz ją się umacnia. W chwilach troski i niepokoju o przyszłość na swych następców wkłada on obowiązek zachowania dokonanego przezeń dzieła, a zaślepiony własną genialnością wierzy w doskonałość swego tronu i jego trwałość przy warunkach starannej pieczy. Nie przeceniajmy wzroku tego pogromcy; on często w lwach widzi koty, a najzwyklejsze oko dalej sięga spojrzeniem, niż on, olśniony błyskawicami swych gromów. Więc nie uznaje, że stosunki europejskie zwichrzył i powikłał, że jedynie na olbrzymiej swej

dłoni oparł sztuczną i naturalnej podstawy pozbawioną budowę, że ona bez tej podpory runie, że rozkiełznane lub rozjątrzone przez niego namiętności rozpoczną wściekłą walkę — i dlatego obmurowywa swe łupy a wojny nie łaknie, bo dziś nie może jej prowadzić, jako lis lub wilk, gdyż kury i owce zaostrzyły swą czujność.

Bądź co bądź, to leży po za wszelką wątpliwością, że w obecnej „chmurze“ politycznej książę Koburski jest maleńkim, luźnie do niej przyczepionym obłoczkiem. Nie interesuje też nas wcale, bo na szali wypadków nie waży ani jego zamiłowanie do ptaków, ani to, że jest „najpilniejszym(!) czytelnikiem wszelkich (!) pojawiających się na stołach księgarskich nowości,“ ani to, że — jak zaręcza *Kur. warsz.* — „mniej skwapliwie pożera romanse i powieści, ani to, że „z prawdziwą namiętnością prowadzi dalej studya socyalno-polityczne i przyrodnicze,“ ani to, że od kilku miesięcy uczy się po bułgarsku, ani to, że „przedsiębrał rozległe podróże i odwiedzał swego brata w Brazylii,“ słowem nic w całym jego rysopisie moralnym i umysłowym, w którym nie ma ani jednego znaku szczególnego, a gdyby nawet miał, pozostanie tylko aktorem tej lub innej reżyseryi. Zajmuje nas wyłącznie kwestya, czy już dojrzał wulkan wschodni do wybuchu, czy nie; czy Rosya wypowie już swoje *Quos ego!*, czy zgryzie pigułkę w milczeniu, czy Koburg odegra taką rolę w Bułgaryi, jak Hohenzolern w Hiszpanii? Oto głównie chodzi, ale nie o to, co nadporucznik honwedów węgierskich „studyuje“ i co „pożera.“ Niestety, na progu tych zagadek kończy się nasza wiedza a po części i wiedza kapłanów, wtajemniczonych w kult dyplomatyczny.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

„Sobranie“ bułgarskie, zwołane dla wyboru księcia, byłoby przebyło wielką burzę i może bijatykę, gdyby jego prezes w porę nie poskromił gwałtownych wystąpień opozycyi. Ostatecznie cel osiągnięto ze względnym spokojem. Musiała jednak popękać naprędce zlepiona budowa rządu, kiedy nietylko regenci, ale i ministrowie natychmiast podali się do dymisyi, a niektórzy przeszli do obozu niechętnych. Dziwić się tym niesnaskom trudno.

Spójrzmy dla przekonania się o tem na Francyę. Ile ona już miała gabinetów ministeryalnych w okresie panowania regencyi bułgarskiej! Obecny, podkopywany i szarpany ze wszech stron, mimo obietnicy znacznego zmniejszenia wydatków państwowych, liczy swoje życie na dnie. Jaką niemożliwością jest dziś kierowanie Francyą, dowodem świeży fakt, że nawet prezes Izby deputowanych Floquet, nie chce dłużej siedzieć na Madejowym fotelu. Zbrzydły mu zapienione wściekłą śliną rozprawy, brutalne wymysły, gorszące kłótnie, egoistyczne intrygi, cały ten rynsztok, w którym tak się nurzają wzajemnie przedstawiciele narodu. Zaszczyt zajmowania wysokiego urzędu nie zobojętnia wstrętu sprawowania go. Niedługo, żaden rozumny i szanujący swą godność człowiek nie będzie chciał rządzić Francyą.

Za przykładem Rosyi i ona zamierza podkurzyć u siebie niemców. Złożono Izbie odpowiedni a dość surowy wniosek do prawa, który bezczelną, w własnem oku nigdy belek niewidzącą prasę pruską napełnia zgrozą. Nie jesteśmy w zasadzie zwolennikami ustaw wyjątkowych, ale te krzyki rabusiów skarżących cudzą winę są czemś gorszem i ohydniejszym od samego okrucieństwa.

Bismark spostrzegłszy, że złupiona przez niego sąsiadka nie zapomina swej krzywdy i rozpala się myślą odwetu coraz bardziej, że jego grzecznostki nie skutkują, próbuje ją nastraszyć. Jego dzienniki zapowiadają „odpłatę równą monetą,“ a tymczasem w Alzacyi i Lotaryngii wypędzono z sądów język francuski. Zrobiono to po wyroku w sprawie Kleina i spólników, oskarżonych o szpiegostwo na służbie u paryzkiego biura wywiadowczego, ażeby dowodami sądowymi usprawiedliwić srogość. Dowody te rzeczywiście wykazały istnienie szpiegów francuzkich (należał do nich Schnaeble), zdradzających tajemnice wojskowe i forteczne, ale takimi osobnikami posługuje się każde państwo. Tylko Niemcy rozdęły każdego szczupaka do wielkości rekina, ażeby na Francyę cień rzucić.

Przez kilka dni drażniła ciekawość ogólną pogłoska, że Milan po powrocie z Wiednia postanowił usunąć Risticza i powołać Christicza, czyli spoić dawną klamrą swój stosunek z Austryą. Dotąd wszakże wieść ta nie potwierdziła się. Pewnem jest tylko, że król skarcił ministra spraw wewnętrznych za dymisyonowanie wielu urzędników, oraz to, że jego żona wróciła z Rosyi do Belgradu.

Bil karny przeciwko irlandczykom został przyjęty przez Izbę w trzeciem głosowaniu. Jakkolwiek w Anglii wszystko wolno się rodzi i umiera, temu skrofulicznemu dziecku nie wróżymy długiego życia. Pierwszym objawem jest kilka nowych wyborów, które wypadły na korzyść gladstonistów. Naturalnie sędziwy przywódca liberałów do ostatniej chwili walczył przeciwko surowej ustawie.

Hr. Szuwałow, ambasador rosyjski przy dworze niemieckim, został nagle powołany do Petersburga, Bismark również nagle wrócił do Berlina — te i tym podobne wypadki na tle sprawy bułgarskiej tłomaczone są jako znaki niepewności położenia politycznego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

(Dokończenie).

A. Meyer et G. Ardant. *La question agraire. Etude sur l'histoire politique de la petite propriété.* Paryż, 1887.

Idąc za Meyerem w jego badaniach nad dziejami małej własności w Polsce, doszliśmy do epoki — według autora najdonioślejszej. Była to chwila, w której możnowładztwo panowało na całej linii.

Posłuchajmy, jak autor charakteryzuje Polskę od drugiej połowy XV stulecia:

„Szlachta zagarnęła wszystkie grunta, opanowała wszystkie prawa i wszystkie dochody państwa, ażeby wszystko zgubić. Od wygaśnięcia Piastów tworzy ona cały naród; sama składa właścicieli, sama zasiada w izbach; mieszczanie (z pochodzenia niemcy) uczestniczyli w nich rzadko, a w 1543 wyganiają ich stamtąd na zawsze; szlachta zasila szeregi kawaleryi narodowej, która

Od kolebki do mogiły.

W czasie, kiedy niemcy odwykli od bezstronnego rozprawiania o czemkolwiek, kiedy filozofia ich dźwięczy odgłosem hasła: siła przed prawem, a historya do apoteozy podnosi politykę zaborów i podboju — miło robi wrażenie książka, zupełnie pozbawiona tego wstrętnego oddechu. Jest nią świeżo wydane dziełko Ernesta Ecksteina, popularnego publicysty i autora kilku powieści z dziejów starogreckich i rzymskich (*Afrodyta* — cztery wydania, *Klaudyusze* — ośm wydań, *Prusias* — cztery wydania, *Pia* — trzy wydania) o czterech okresach życia ludzkiego *). Na podstawie własnej i cudzej obserwacyi myślący pisarz kreśli nam tu duchową charakterystykę wieku dziecinnego, młodego, męzkiego i starości.

Co do pierwszego, jakkolwiek błędem jest utrzymywać, że w dzieciństwie człowiek żadnych moralnych nie doznaje cierpień, przyznać jednak należy, że wiek ten jest najszczęśliwszym. Przyczynę upatruje autor w następujących okolicznościach: w braku refleksyi, w większej, aniżeli później podatności woli, w szybkim rozwoju poznania, w upajającej nowości nasuwających się przedmiotów i wreszcie w poetycznej twórczości fantazyi dziecięcej.

„Dziecko żyje teraźniejszością jedynie; to też tylko pozytywne, realne, obecne cierpienia chmurzą niebo jego bytu. Skoro przeciągną obłoki, owo słońce rozkoszy znów nieuszczuplonym świeci mu blaskiem.“

Inaczej u dorosłych. Większa część bólów naszych ma źródło swoje w refleksyi, w obawie przed tem, co nastąpi, w dręczącej trosce, która maluje sobie możliwości wszelkie i używa do tego barw zbyt ściśle-go przypomnienia.

Dziecko naiwne podobne jest do lunatyka, który śmiało kroczy po najniebezpieczniejszych ścieżkach i drożynach. W dalszych okresach wieku natomiast człowiek na lewo i prawo widzi przepaść otwartą i z trwogą nieopisaną w niemem wzruszeniu te same przebywa drogi, po których dziecię z całą porusza się swobodą.

I pamięć także nie mąci widnokręgu uciech dziecięcych. Strata, zmartwienie, boleść, które przed chwilą jeszcze gorące łzy mu wyciskały, wkrótce zostają zapomniane; ma ono, jak trafnie mówi lud, śmiech i płacz w jednej kieszeni. Znajduje się wśród świata, którego cuda jeszcze dlań nie spowszedniały; żądza wiedzy na każdym kroku jest pobudzaną i zaspokajaną. Każdy dzień, każda godzina przynoszą mu nowości. W niewielu miesiącach ogromnego dokonywa on trudu. Uczy się rozpoznawać dźwięki, porządkować je; pojmuje, że niektóre z tych dźwięków są wyrazami i że wyrazy te mieszczą myśli. Samo jakby odgaduje znaczenie przedmiotów; odróżnia prawdę od fałszu, rzeczywistość od urojenia. Dzięki bacznemu spostrzeganiu prostuje błędy zbyt żywej fantazyi swojej, toruje sobie drogę wpośród chaosu i przy całej tej pracy olbrzymiej ma jeszcze czas na przyswojenie sobie giętkości języka i zdobycie mocy dla chwiejnych nóżek swoich, słowem, ma czas wyjścia na człowieka.

„Co człowiek pod względem rozwagi i świadomości zdobywa w epoce chłopięctwa swojego—słusznie powiada Schopenhauer—to bez zaprzeczenia, wogóle wziąwszy, znaczy więcej, aniżeli wszystko, czego się uczy później, choćby nawet najbardziej był uczonym; to pierwsze bowiem jest podwaliną wszelkiego poznania ludzkiego.“

Dziecko nietylko samo jest szczęśliwe, ale jeszcze urok szczęśliwości rozlewa dokoła. Wiktor Hugo w jednej z najpiękniejszych poezyj swoich tak do dziecka się odzywa: „Ty jesteś jutrzenką, a umysł mój niwą.“ W zakończeniu zaś prosi Boga, aby uchronił wszystkich, ktorzy mu są drodzy, jego braci i przyjaciół, nawet wrogów, od widzenia wiosny bez kwiatów i domu — bez dzieci.

Charakterystyczną cechą młodości — wedle Eckstcina — jest ułuda. Wśród pogoni za urzeczywistnieniem wyśnionych ideałów czarowne obrazy szczęścia jakiegoś wyma-

*) *Die vier Lebensalter.* Lipsk. 1887, str. 140.

od 1538 jest całą armią; ona to dzierży urzędy państwowe i kościelne. Prawem 1386 r., potwierdzonem w 1454, osobiście jest nietykalną; prawo cywilne i kryminalne w jej ręku, wykonywa je nad chłopem i nad własną rodziną: ma zapewnione prawo: *„liberos relegandi, vendendi, occidendi*; nie płaci podatków osobistych od 1365 r.: podatki gruntowe zrazu umiarkowane, później ich zupełnie nie ponosi. Ażeby zapewnić sobie użytkowanie z tych prerogatyw wyjątkowych, postanowiono, że człowiek, podniesiony do godności szlachcica, nie może spełniać urzędu publicznego, zarówno jak syn jego i wnuk; dopiero w czwartem pokoleniu potomkowie uszlachetconych wchodzili w pełnię przywilejów, a w 1601 pozbawiono króla praw nadawania szlachectwa. Odtąd prawo to służy jedynie sejmowi, który od tego czasu aż do upadku państwa indygenat nadaje tylko 1,112 osobom. Szlachta polska stała się kastą zamkniętą.“

Tu Meyer maluje następstwa tej wyłączności. Władza, bogactwa, stanowisko — w górze, nędza — u dołu. Arystokracya ogarnia prawie całą własność ziemską, rozszerza obszar latifundyj i niebawem pojawia się nowy stan, nowa kasta „braci szaraczkowych,“ szlachty, wyzutej z ojcowizny, która dla chleba tworzy szeregi satelitów możnowładztwa, pozornie sprzyja mu i czapkuje, w gruncie — jest żywiołem malkontentów. Od XV wieku spostrzegamy tę nierówność majątkową i znaczna liczba rodzin szlacheckich wpada w nędzę. Jaki może być powód — zapytuje autor — że prawo równości szlacheckiej, tak ściśle przestrzegane, nie mogło się utrzymać? Meyer widzi go w ustawie spadkowej i hypotecznej *).

Zastanawiając się nad pierwszą, ocenia ją naturalnie według swych zasad. Gorliwy wyznawca unieruchomienia ziemi i majoratów, tylko niekorzystnie może się odzywać o równości praw dziedziczenia. Utrzymując, że szlachcic w Polsce bez ziemi nie nie znaczył, dowodzi, że staraniem ojca rodziny było zapewnienie każdemu dziecku kawałka gruntu. Skutkiem tego rozdrabnianie ziemi wytworzyło proletaryat szlachecki.

Co zaś do praw wierzycieli, zabezpieczonych „hypotecznie,“ przyznając im wielką doniosłość, jednocześnie zaznacza, że pewność, jaką miał kapitał w lokacyi, spowodowała obdłużenie fortun szlacheckich.

Te przyczyny upadku średniej i drobnej szlachty, Meyer potrzebował wykazać, chcąc wyprowadzić genezę kozaczyzny i jej wojen.

Co prawda, geneza ta nie bardzo udała się autorowi. Twierdzi on, że po przyłączeniu demokratycznego ks. Mazowieckiego w 1486 do Polski (!!), ludność tamtejsza, złożona z dawnych poddanych panów polskich, chcąc uniknąć nowego ucisku, uciekała nad Jaik... i Dniepr, tworząc tam rzeczpospolitę kozacką. Pomijając z uśmiechem ten Jaik i podbój Mazowsza, zaznaczamy, że autor dalszy rozwój kozaczyzny, wzmacniającej się wciąż przypływem „szlachty szaraczkowej“ i chłopów z Rusi, uważa jako groźnego nieprzyjaciela Polski przedrozbiorowej.

Historyę wojen kozackich maluje dosadnie. Uważa je za wynik błędów możnowładztwa, jako karę dziejową.

Nie możemy na teraz iść dalej za autorem, już dlatego, że od epoki powyżej zaznaczonej traci on spokój i trzeźwość poglądów, następnie, że dotyka czasów bliższych, których opis usuwa się z pod pióra.

Nie chciał mówić, czy nie wiedział o naszych reformatorach i mężach stanu, którzy odczuwając niedolę ludu, nawoływali do poprawy Rzeczypospolitej. Modrzewscy, Kołłątaje, Zamojscy, całe szeregi przyjaciół ludu, rok 1791 — nie istnieją dla niego... To też o ile pierwsza połowa jego pracy zastanowić nas mogła dłużej, drugą scharakteryzować można jako robotę nieudatną i zaprawioną namiętnym, a w wielu razach nieuzasadnionym poglądem.

Błędów, jak to już zaznaczyliśmy, książka Meyera posiada dużo.

Gdyby autor nie był podniósł nadzwyczaj żywotnej dla nas sprawy, może o jego pracy nie bylibyśmy wiele mówili. Skoro jednak *Kwestya rolna* takiego nabrała rozgłosu, podając jej ocenę, winniśmy wykazać choć część omyłek, tembardziej, że materyałów do napisania rozdziału o Polsce dostarczył autorowi podobno jeden z dość znanych naszych publicystów.

I tak św. Cyryl obala bałwany i wiarę chrześciańską do Polski wprowadza (str. 162).

W końcu XI wieku, widząc, że handel i przemysł w Polsce nie mogą się rozwijać dla braku sił miejscowych, sprowadzamy żydów, którzy tworzą rozsadnik tych przedsiębiorstw!.. (Dodajmy nawiasowo, że tylko tu Meyer tak wysoce cywilizacyjną im rolę przyznaje, gdyż wszędzie zresztą występuje jako anti-semita i wpływ żydów na nasze losy bardzo ujemnie przedstawia).

Dowiadujemy się również ciekawej rzeczy, a mianowicie, że Jagiełło prócz Litwy przyłączył do Polski — Galicyę.

Jeśli dodamy do powyższych tyle ciekawych... odkryć historycznych, wiadomość, że w 1846 r. mieliśmy rzeź szlachty (na wzór galicyjskiej), że kadaster przeprowadzono już u nas w XIII wieku, a język łaciński był urzędowym od X stulecia, będziemy mieli dostateczną chyba wiązankę bąków prawno-historyczno-geograficznych.

Przytem samemu układowi części dzieła, traktującej o Polsce, wiele możnaby zarzucić. Autor przeskakuje nieraz przez całe wieki, wraca do kwestyj dawno już rozebranych, przez co nadzwyczaj utrudnia uchwycenie przewodniej myśli i krytyczną ocenę całej pracy.

Zapiszmy już tylko ostateczne wnioski autora co do nas i ogólną wartość jego pracy.

Probierz jego poglądów mieści się w tych słowach:

„Jeśli kiedy nad tym krajem pomyślniejsza gwiazda zaświeci, zawdzięczać on to będzie chłopu, którego ośm wieków niewoli nie zgnębiło, podczas gdy siedm wieków panowania najzupełniej wystarczyło do zrujnowania szlachty polskiej. Nieszczęśliwe położenie włościan i stan ciągłej wojny, w jakiej pozostawali ze szlachtą, byłyby wystarczyły na obalenie królestwa. Rozstrój społeczny kasty szlacheckiej sam do tego się przyczynił.“

Doprawdy, trudno wierzyć, że słowa te wyszły z ust... Meyera klerykalisty i feodała! Czyżby rozdziałowi o Polsce Meyer miał tylko swego płaszcza użyczyć?

Raz tylko, i to ku końcowi, zdaje się wierzyć w żywotność szlachty polskiej, gdy

*) Zwracamy uwagę krytyków, zarzucających Meyerowi, że hypotekę w Polsce widzi już utworzoną w XIII w., iż on nigdzie podobnej bredni nie wypowiedział i jedynie ustawy, ubezpieczające prawa wierzycieli i spadkobierców, nazwał hypoteką. Utrzymuje, że Polska, o wiele wpierw, aniżeli inne narody, utworzyła instytucye ochraniające kredyt i prawa rodzin, a z tego tytułu gorąco chwali społeczeństwo tamoczesne.

---

rzonego, nieoznaczonego, unoszą się przed duszą młodzieńca — a nie znajdując ich pierwowzoru w życiu, często bolesnych doznaje rozczarowań. Stąd druga wypływa cecha: niezadowolenie z siebie i otoczenia, niepokój jakiś i tajemnicze rwanie się w szarą dal. W ścisłym związku z temi iluzyami zostają wszystkie przymioty, jakimi się odznacza młodzieniec porównany z mężczyzną w sile wieku i starcem. Zapala się on do wszystkiego, co dobre i wielkie, nie przeczuwa bowiem, jak często dobroć i wielkość służą jedynie za maskę podłości. Wierzy bez granic; wszędzie widzi raczej szlachetne, aniżeli niecne pobudki; skłonnym jest do ofiar, ma odwagę i silnie rozwinięte poczucie sprawiedliwości. Oddany tego rodzaju złudzeniom, traci niewątpliwie wiele pod względem poznania i rzeczywistej wiedzy, ale zyskuje na wartości osobistej i moralnej. Jest gorszym filozofem, lecz za to lepszym poetą; jest nowym dowodem starej owej prawdy, że człowiek posiada nietylko wady swoich przedmiotów, ale i przedmioty swoich wad.

Dużoby się zmieniło na lepsze — powiada Schopenhauer — gdyby przez wczesne dosyć ostrzeżenia można było wypalić, wytępić z pośród młodzieży złudzenie, że świat dla dążeń i działań naszych szerokie przedstawia pole. Dzieje się jednak przeciwnie, gdyż po większej części wprzódy poznajemy życie z poezyi, aniżeli z rzeczywistości. Obrazy, kreślone przez pierwszą, jaśnieją nam odbite w brzasku porannym własnej naszej młodości — dręczy nas więc tęsknota za wcieleniem tych obrazów, pragniemy uchwycić tęczę. Młodzieniec przedstawia sobie przyszłość swoją w postaci interesującego romansu. To też charakter wieku młodzieńczego jest niezaspokojone pragnienie szczęścia.

Trafnie też autor zwraca uwagę, że jakkolwiek w głośnych, entuzyastycznych pochwałach wieku młodzieńczego jednomyślnie spotykają się osobniki poważne i wesołe, ograniczone i mądre, artyści, poeci i marzyciele — nie sami młodzieńcy jednak opiewają godne zazdrości położenie swoje, ale czynią to ludzie dojrzali i starcy, czyni to wspomnienie, które wtedy dopiero ma świadomość dobra sławionego, gdy je straci.

Do utworów najpotężniej i najrzewniej zarazem odtwarzających żale starca za minioną młodością, Eckstein zalicza poemat Heinego *Bimini*, w którym opisane są losy Don Juana Ponce de Leon, wysokiego dostojnika i milionera hiszpańskiego.

Patrząc na skarby swe i drogie kamienie, don Juan tak się skarży:

Na widok pereł tych
Smutnieję, bo myślę:
Lepiej bym miał zęby,
Zęby, jak za młodu...

Młode zęby! Z niemi
Znikła i ma młodość;
Gdy to wspomnę bezsilny,
Pniami zgrzytam zgniłymi.

Zęby młode! Z młodością wraz
Mógłbym was odzyskać znów,
Radbym za to dał wszystkie
Tych moich pereł wory...

Bogactwo, sławę i zaszczyty
Mi weźcie, „jasnym“ nie zwijcie,
Na trutnia młodego raczej,
Na dudka, na żaka zmieńcie.

Wiek męzki jest okresem, w którym człowiek najsilniej reprezentuje typ gatunku swego. Obejmuje też największą liczbę lat. Przy zdrowej budowie i prawidłowym rozwoju przyjąć można, że trwa od trzydziestego do siedemdziesiątego roku życia. Cechą odróżniającą go zasadniczo od wieku młodzieńczego jest: brak iluzyj. Zamieraniu ich towarzyszy zawsze wielkie przygnębienie duchowe. Dlatego w początku wieku męzkiego nastrój pesymistyczny zdarza się częściej, aniżeli w chwilach późniejszych, w których człowiek ma czas dojść do skupienia w samym sobie i właściwej oceny rzeczy — miłości. Jest to epoka uporządkowanej działalności, jasnej, świadomej celu, silnej twórczości, walki materyalnej i duchowej. Podczas gdy młodzieniec ostrzy miecz i w myśli dopiero wyobraża sobie utarczki, w których zabrzęczy stal połyskująca — mąż dojrzały śmiało i odważnie, oko w oko, staje do walki z wielkim nie-

mówi o prawach banicyjnych w Prusach. „Wiadomo — powiada — że ks. Bismark u szczytu swej sławy żąda od parlamentu środków w celu wydziedziczenia szlachty polskiej i osadzenia na jej ziemiach chłopów niemieckich. Dowód to oczywisty strachu, jaki wywierają na prusakach te szczątki narodowości!“

Dla nas praca Meyera nie może być przyjemnym dokumentem historycznym. Żaden może jeszcze z zagranicznych publicystów nie odezwał się z tak bezwzględnem potępieniem kasty, która przez siedem wieków nawą krajową kierowała. Niema tu słowa uznania, niema iskry życzliwości, bo autor z jednostronnego stanowiska oceniając dzieje nasze, całą historyę Polski streszcza w słowach: niewola chłopa — kraj ten zgubiła!

Cokolwiek mielibyśmy powiedzieć przeciwko tak bezwzględnemu wnioskowi autora, w wielu razach przyznać mu musimy słuszność. Toć od drugiej połowy XVI w. zwłaszcza autokratyzm szlachecki do tego stopnia zawładnął społeczeństwem, tak skrępował swobodę chłopa, iż żywioł, w którym czerpać można było siły dla odrodzenia narodu, ujarzmiony i zniechęcony, nie mógł być brany w rachubę. Gdy nareszcie rozbudzona świadomość narodowa chciała wynagrodzić zrządzone krzywdy i w uspołecznieniu chłopa widziała przyszłość kraju, los mściciel wyrzekł — „za późno!..“

R.

Georg Adler: *Die Grundlagen der Karl-Marx'schen Kritik der bestehenden Volkswirtschaft.*

Każdego, kto śledzi niemieckie piśmiennictwo ekonomiczne z kilku lat ostatnich, musi uderzyć niezmierna ilość prac, poświęconych rozbiorowi Marksa i Rodbertusa. Chyba że wśród młodych ekonomistów, ubiegających się o katedrę uniwersytecką, niema takiego, któryby nie czuł się w obowiązku potrącić to o jednego, to o drugiego, lub wreszcie o obu; lecz gdy Rodbertus należy do ulubieńców, w Marksie wyszukuje się wszelkie usterki, ku tem większemu wywyższeniu współzawodnika. Rzeczywista nauka nie wiele korzysta na tych rozprawach; że mały deszcz bywa często z wielkiej chmury, przysłowie to sprawdza się najzupełniej. Uniwersytety niemieckie zerwały z niezależnością naukową; służalczość przeniknęła w grona profesorskie, które stosownie do poleceń z góry gotowe są fałszować i przeszłość i teraźniejszość. I większości młodych ekonomistów chodzi przedewszystkiem o jedno — o karyerę i otrzymanie katedry. To kładzie piętno na ich prace.

Obecnie ukazała się rozprawa Adlera. Znając autora z dość cennej pracy „O ruchu społeczno-robotniczym w Niemczech 1848,“ wzięliśmy nową książkę z ciekawością, ile że zaraz w przedmowie czytamy: „Postaram się dowieść u Marksa sprzeczności. Jeżeli to okaże się słusznem, teorya wartości dodatkowej zawiśnie w powietrzu... Usiłuję też wykazać, iż teorya ta nie nadaje się do uwidocznienia tendencyj kapitalistycznego gospodarstwa i jego krytyki.“ Zawiedliśmy się przecież, bo lubo uderza on na teoryę Marksowską z najsłabszej strony, nie posuwa się w najgłówniejszem po za wypowiedziane już zarzuty, a nadto, że tak się wyrazimy, sprzedaje zawczasu skórę na niedźwiedziu. Sama rozprawa jest jednem z ogniw przydłuższego sporu pomiędzy „marksistami“ i „rodbertusowcami.“ Otóż dla jego zrozumienia musimy zagłębić się nieco w dzieje teoryj ekonomicznych. Już u Ricarda spotykamy jasno wypowiedziane dwa prawa obecnego porządku wymiennego: po pierwsze, wartość mierzy się ilością zawartej pracy; powtóre, we wszystkich przedsiębiorstwach, opartych na wolności procederu, zyski muszą stać mniej więcej na tym samym poziomie. Jeżeli bowiem w jakiejś gałęzi wznoszą się one ponad bieżącą stopę w społeczeństwie, kapitały rzucają się tutaj masowo i wskutek zwiększenia współzawodnictwa, zniżają zbyt wygórowane dochody: kiedy znów stoją nizko, następuje wycofywanie, a współubieganie wytwórców w dostarczaniu produktu ulega zmniejszeniu. Rodbertus wykazuje, że jednoczesne urzeczywistnienie obu dążności jest niemożliwe w tegoczesnym porządku ekonomicznym. Jakoż wyobraźmy sobie przebieg produkcyi jakiegoś towaru, każdy przedmiot, nim zostanie zupełnie wykończony, musi przebiedz kilka szczebli (np. zboże, zanim ukaże się w postaci chleba, przechodzi folwark, młyn i piekarnię). Każdy szczebel, krom wydatków na kupno własciwych sobie narzędzi i potrzebnej siły roboczej, musi zakupić materyał, będący wytworem szczebla uprzedniego (np. piekarz — mąkę). Oczywista, fundusz, niezbędny na zakupno 100 pudów mąki, musi być większy od wartości tego zboża, z którego otrzymano powyższą sumę mąki, o wartość dodaną w młynarstwie. Słowem, jeżeli weźmiemy pewną ilość jakiegoś bezpośredniego płodu ziemi (np. rudy żelaznej) i śledzić zechcemy koszty włożone przez kolejnych przedsiębiorców, gdy ona przebiega następujące po sobie szczeble produkcyi, zobaczymy, że im wyżej, tem więcej wymaga funduszu zakładowego, gdyż w każdorazowy materyał wchodzą wszystkie koszta szczebla uprzedniego. Tymczasem otrzymana „renta“ (jest to u Rodbertusa „niezapłacona praca najmicka,“ odpowiadająca „wartości dodatkowej“ Marksa) nie kieruje się według kosztów produkcyi, lecz jedynie do ogółu pracy, pochłoniętej bezpośrednio przez wytwór na wiadomym szczeblu. Więc jeżeli wytwór wymienia się ściśle według tkwiącej w nim pracy, stopa zysku, którą dostajemy do rozdzielenia renty na całość kosztów i sprowadzenia tego ilorazu na 100, będzie w przedsiębiorstwach, wykończających produkt, mniejszą, aniżeli w zakładach półfabrykatów. W ten sposób równomierność zysków wśród oddzielnych przedsiębiorstw zostaje na stałe nadwyrężoną; ponieważ stanowi ono kardynalne prawo teraźniejszości, wypada raczej przypuścić, iż wyrównanie następuje dzięki systematycznemu obchodzeniu prawa wartościowego — Rodbertus przyjmuje, że wartość towaru tylko ciąży w kierunku zawartej pracy. Tymczasem Marks w dotychczas wydanych tomach *Kapitału* mówi jedynie o wyznaczeniu wartości i mierzy ją społecznie niezbędną pracą; o wpływie zaś dążności ujednostajniania zysków na wartość nie wspomina. Rozwiązanie tej trudności znajduje się w tomie III, który ma się niebawem ukazać; jak wydawca nadmienia, dążność wspomniana zgadza się, według Marksa, z jednoczesnem mierzeniem wartości przez czas niezbędnej społecznej pracy. Z tego powodu wydawca rzuca nawet wyzwanie „rodbertusowcom,“ ażeby przed wyjściem tomu III pospieszyli z dowiedzeniem, czy doktryna ich mistrza jest w stanie dać pożądane rozwikłanie sprzeczności na tle mierzenia wartości przez pracę. W liczbie dotkniętych, lubo bezimiennie znajduje się Adler, który na wyzwanie odpowiedział całą książką, napisaną, jak bywa w takich razach, bardzo polemicznie i subjektywnie.

---

przyjacielem — *bytem*. Nie *szuka* on walki, ale stoczyć ją *musi*. Zakłada dom, widownię przyszłej rodziny, podwalinę społeczeństwa. Wracając po mozołach zajęć obowiązkowych, tu znajduje odpoczynek, wytchnienie, tu nowych nabiera sił. Przebrzmiały burze miłości młodzieńczej; nie pali już podzwrotnikowe słońce namiętności, ale z błękitnego nieba rodzinnego łagodne, ogrzewające spływają promienie. Jedno tylko nowe wśród tej gotowej na pozór egzystencyi zachodzi zdarzenie, zdolne bezpośrednio zwrócić uwagę na wielkie zagadnienia bytu, zdarzenie, które zupełnie niespodziane wywołuje uczucia i nieraz rodzi przymioty charakteru, przedtem jakby zagrzebane w popiele. Mężczyzna staje się *ojcem*. W pięknym szkicu swoim „Mój pierworodny“ Gustaw Droz tak się spowiada: „Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobiło na mnie zjawienie się tej obcej, a jednak tak zaufanej istoty, która niby nagle spadła mi do rodziny. Długo przedtem marzyliśmy o tem i gawędzili: w duchu widziałem kochane dziecię moje, bawiące się piłką, czułem, jak mnie targało za wąsy, patrzyłem, jak na pierwszy krok się odważyło. A przecież — wrażenie to było tak dziwnem, tak nieznanem, iż zrozumie je ten tylko, kto go doświadczył sam. Ta mała istotka, do mnie należąca, wprawiała mnie we wzruszenie nieopisane. Wobec zagadki tej czułem się formalnie oszołomionym: byłem jakby rażony piorunem, podobny do artysty, któremu przy pomocy nieświadomego daru geniuszu udało się stworzyć arcydzieło...“

Fizyonomia późniejszego wieku mężkiego — zdaniem Eksteina — głównie zawisłą jest od studyów, w jakich znajduje się rozwój dzieci pod względem fizycznym i umysłowym. Język miałby zupełne prawo inne wynaleźć określenie dla oznaczenia młodego ojca, którego dzieci mają dopiero po kilka lat, aniżeli mającego synów dorosłych lub dzieci zamężne i żonate. Zasadniczo różnem bowiem w każdym z tych trzech wypadków jest zewnętrzne ukształtowanie się życia, zasadniczo różne są obowiązki, pociechy, troski i niepokoje męża i ojca...

Zwolna, jak las jesienny zmienia się na zimowy, późniejszy wiek mężki wchodzi w ostatni okres życia naszego — w starość. Cały prawie rozdział, dotyczący tego okresu, autor poświęca polemice z Cyceronem, który w dziele swem (*De senectute*) wiek sędziwy mieni ze wszystkich najsmutniejszym, wszystkie jego dolegliwości na cztery dzieląc kategorye. Utrzymuje mianowicie Cyceron, że starzec staje się niezdolnym do pracy w społeczeństwie i państwie itp., że podupada na siłach i zdrowiu, że traci możność używania i wreszcie, że stoi na progu śmierci. Eckstein wykazuje, że to wszystko jest względnem — godzi się zaś z autorem rzymskim w poglądzie na resztki życia. „Nędznym tworem — czytamy u Cycerona — jest starzec, który w ciągu długiego życia nie nauczył się pogardzać śmiercią! Widoczna bowiem, że śmierć jest dla nas albo czemś obojętnem, jeżeli mianowicie doszczętnie niweczy indywidualność naszą, albo czemś pożądanem, jeżeli duszę naszą przenosi do życia wiecznego. O czemś trzeciem mowy być nie może. Czegóż więc mam się lękać, skoro po śmierci będę albo wolnym od wszelkich przykrości, albo nawet zbawionym? Prócz tego, któż, choćby był najbardziej niedojrzałym młodzieńcem, któż tak jest niemądrym, aby utrzymywał, że ma pewność doczekania do wieczności? Jam tego doświadczył na niezapomnianym synu moim, a ty, mój Scypionie, na twych pełnych nadziei braciach, że śmierć wspólna jest wszystkim życia okresom. Zresztą, wy dobrzy bogowie, co to znaczy w życiu ludzkiem „długo“? Co wogóle ma koniec, nigdy nie może mi się zdawać „długiem“!

Autor przytacza także to, co w tym względzie mówi Schopenhauer: „Istotnie, kto jest starym, ma jeszcze tylko śmierć przed sobą. Ale młody ma przed sobą życie i zachodzi pytanie, co z obojga bardziej jest niepokojącem, oraz, czy wogóle wziąwszy, życie nie należy do tych spraw, które lepiej mieć za sobą, aniżeli przed sobą. Wszak wyrzekł już Kohelet: „dzień śmierci lepszy jest niż urodzenia.“

Dziełko Eksteina napisane jasno, barwnie, językiem nie nastroszonym mglistymi terminami filozoficznymi, czyta się z prawdziwą przyjemnością. *Ad. J. Cohn.*

Przeciwstawia on teoryi Marksowskiej inną, w ogólnych zarysach oddawna już znaną i powtarzaną na wszystkie sposoby, a opartą na powyższych wywodach Rodbertusa. Czytelnik ją może odnaleźć, jeśli nas pamięć nie zawodzi, w polskim przekładzie Iwaniukowa, używającego jej w tym samym celu. Wychodzi on z subjektywnego stanowiska przedsiębiorcy. Gdy autor *Kapitału* rozpatruje wartość wymienną z przedmiotowego punktu widzenia, jako stosunek równościowy jednakowych ilości społecznie niezbędnej pracy, wówczas Adler wyprowadza na scenę przedsiębiorcę, każe mu zsumować koszta produkcyi towaru i do nich dodać zyski według bieżącej stopy procentowej; otrzymuje on wtedy pewną wielkość, która stanowi dlań skalę stawiania żądań na rynku. „Wartość towarów określa się stosownie do wydatków kapitału, społecznie niezbędnych do wytwarzania produktu, mianowicie jeżeli w pojęciu „wydatki kapitału“ zamieścimy zyski bieżące.“ Że przedsiębiorca postępuje w taki, a nie inny sposób, nie ma co o tem rozprawiać; rzecz cała zawiera się w dowiedzeniu, czy wobec wspomnianej powyżej tendencyi wyrównywania zysków da się pogodzić to subjektywne obliczanie z teoryą Marksowską. Adler zaprzecza temu, snując swe dowodzenie za pomocą przykładów, a przytoczenie z nich chociażby jednego, wystarczy najzupełniej. „Przypuśćmy, iż dla wytworzenia dwóch produktów użyto po 1000 godzin pracy, z tą tylko różnicą, że jeden potrzebuje półrocznego, a drugi rocznego okresu produkowania. Niech wynagrodzenie za godzinę pracy wynosi jedną markę, zysk od kapitału $10\frac{1}{2}$% rocznie, wtedy pierwszy towar sprzeda się za 1,050, drugi za $1{,}102\frac{1}{2}$ marek. Nie mogą się więc wymieniać na siebie jako wielkości równe, co jednak według Marksa (dodajmy: tomu pierwszego!) winno mieć miejsce. A więc teorya ta niema zastosowania, gdy czas produkcyi jest różny w oddzielnych gałęziach przemysłu, jakkolwiek włożonoby jednakowe ilości pracy. Rzeczy stoją podobnież, gdy czasy produkcyjne są równe, lecz towar przebiega różną ilość szczebli, nim zostanie wykończony, lub gdy, chociaż liczba ta będzie jednaka, wśrod oddzielnych przebywa rozmaite przeciągi czasu. We wszystkich tych wypadkach, stanowiących bieg normalny życia przemysłowego, mamy do czynienia, zdaniem naszego krytyka, z odchyleniami od teoryi Marksowskiej; wywodów jego nie uzmysławiamy na przykładach, bo zaprowadziłyby nas zbyt daleko. Wymiany towarów według społecznie niezbędnej pracy trzeba byłoby, ażeby czas produkcyi oddzielnych przedmiotów, ilość szczebli przebieganych przez nie do swego wykończenia, czas strawiony w pojedynczych przedsiębiorstwach itd. były sobie równe. Tego jednak nie spotykamy w obecnem gospodarstwie, więc i niepodobna, by wobec tendencyi ujednostajniania zysków towary wymieniały się proporcyonalnie do pochłoniętej pracy społecznej. „Teorya Marksowska, że towary, o ile są wartościami wymiennemi, winny zawierać coś wspólnego, oraz że gdy się wzajemnie wymieniają, posiadają owo coś wspólnego w jednakim stopniu, teorya ta jest słuszną. Lecz Marks błądzi w bliższem określeniu tego wspólnego pierwiastku, zawartego w stopniu równym w dwóch wymienianych na się towarach. Otóż wartość określa się nie przez społecznie niezbędną do wytworzenia towarów ilości pracy, jak mniema Marks, lecz raczej przez potrzebną po temu sumę wydatków kapitału włącznie z bieżącym zyskiem.“ Ale raz sama teorya wartości zostaje poderwaną, rozbiciu ulegają i wszystkie oparte na niej wywody *Kapitału*, przedewszystkiem zaś teorya „wartości dodatkowej“; przedstawiona na jej założeniu walka kapitału z pracą. Adler nie zaprzecza faktom, np. walce o przedłużenie dnia roboczego, o zmniejszenie płacy itd., lecz, usuwając tłomaczenie *Kapitału*, niezwykle łagodzi krańcowości i ostrą, a pełną potępienia krytykę zastępuje oświetleniem nie tak gwałtownem. Zresztą *Kapitałowi* oddaje wielkie pochwały, ale ze względu na punkty— drugorzędne, albo takiej, uznanej nawet przez samo państwo natury jak prawodawstwo fabryczne. Natomiast wyżej stawia historyozoficzne poglądy Marksa, widzące w zjawiskach prawnych, etycznych i politycznych jedynie odbicie warunków ekonomicznych.

Wielka szkoda, że krytyk nie poczekał z swą pracą jeszcze jakiś rok czasu, gdy ukaże się tom III z rozwiązaniem owego antagonizmu, dojrzanego przez Rodbertusa pomiędzy ujednostajnianiem zysków a mierzeniem wartości przez pracę, rozwiązaniem, które, jak można już powiedzieć, nastąpi na założeniu, że czas produkcyi zmniejsza się stale we wszystkich gałęziach przemysłu w miarę im bardziej w wyż posuwamy się po szczeblach produkcyi. Dla tego rzekliśmy, iż Adler sprzedał skórę z niedźwiedzia przed upolowaniem. Możnaby postawić jeszcze drugi zarzut, mianowicie, iż Marksowska „wartość dodatkowa,“ krom owych zysków kapitalisty, zawiera jeszcze inne rodzaje dochodów, np. część kupców; wytwórca, ażeby dostarczyć handlarzowi jego udział, musi mu sprzedać poniżej wartości („dawać rabat“). Ale właśnie na tem ostatniem zjawisku Adler usiłuje oprzeć zarzut swej sprzeczności w *Kapitale*. Jeżeli kupcowi, powiada, oddaje się towar poniżej wartości, więc mamy u Marksa dwie teorye wartości przeczące sobie: jednę, bieżącą w życiu, drugą, teoretyczną na papierze. „Dwa wymieniające się towary zawierają naówczas stale nie równe, lecz różne ilości pracy (społeczno-niezbędnej). W ten sposób Marks przeczy nawet własnej teoryi wartościowej, która przyjmuje, iż w dwóch wymieniających się towarach tkwią równe ilości pracy. Sprzeczność w systemacie jego występuje jaskrawo.“ Dodamy jednak, że Marks popełnia tę „sprzeczność“ z zupełną świadomością i na niej nawet opiera pojmowanie społecznej roli kupców; są to jedynie, że tak rzekniemy, buchalterzy i faktorzy produkcyi przemysłowej, którym przedsiębiorcy oddają za te usługi część „wartości dodatkowej,“ a uskuteczniają to przez sprzedaż z rabatem. I właśnie niektórzy stawiają za jedną z największych zalet II tomu *Kapitału*, że tenże, wychodząc z teoryi wartości, potrafił zwięźle wyjaśnić ekonomiczną rolę kupiectwa.

Zresztą musimy uczynić jeszcze poprawkę — Adlera nie należy uważać za bezwarunkowego ucznia Rodbertusa. Ekonomiście temu tendencya ku ujednostajnianiu zysków nie przeszkadza wyprowadzać wszystkie wywody ekonomiczne z teoryi wartości według pracy. Jest ona dlań tem samem, co prawa Keplera dla astronomii, tj. hypotetycznym punktem, z którego jednym rzutem oka można objąć wszystkie najskrytsze sprężyny gospodarstwa narodowego. Jak spadek ciał na ziemię nie odbywa się według praw fizycznych, lecz odchyla się wskutek wpływów tarcia, podobnież i teorya wartości może różnić się od rzeczywistości, spełniać wszakże wielkie metodologiczne zadanie i umożliwiać zgłębienie istoty zjawisk. Z odrzuceniem tego Rodbertusowskiego punktu widzenia nauka traci możliwość objaśnienia jednych, a nawet potrzeenia o inne kwestye ekonomiczne. Ale takie postępowanie nie jest bez wygranej — Adler może położyć sankcyę naukową na wiele dążeń ekonomicznych, któremi tak bogatą jest teraz zachowawczo-urzędowe życie Niemiec, a którym odmówiłby jej Rodbertus...

K. R. Żywicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYSTAWA HYGIENICZNA.

VI.

Chcąc dać czytelnikom obraz zupełny Wystawy hygienicznej, pomówić by należało jeszcze w osobnych pogadankach o działach budowlanym, przemysłowym i statystycznym; dziś jednak, kiedy Wystawa już jest zamkniętą, a tem samem i zajęcie budzić przestaje, ograniczymy się na krótkiej wzmiance o każdym z tych działów, wyszczególniając tylko przedmioty uwagi godniejsze.

Przedewszystkiem modele i plany robót kanalizacyjnych prowadzonych obecnie w Warszawie.

Stwierdzonem już zostało niejednokrotnie, jak ważnym czynnikiem warunków sanitarnych danej miejscowości jest dostarczenie w obfitości wody dobrej już to do picia, już też do utrzymania w należytej czystości tak naszego ciała, jak i całego otoczenia. Śmiertelność w miejscowościach ubogich w wodę lub zaopatrzonych w złą jest bez porównania większa. Jak się z zadania tego wywiązuje komitet kanalizacyjny w Warszawie, już obecnie możemy sprawdzić, chociaż roboty wodociągowe zaledwie rozpoczęto. Naprzód nadzwyczaj szczęśliwie obrano miejsce dla nowego wodociągu przy ul. Czerniakowskiej. Analizy, tak chemiczna jak i bakteryologiczna zgodnie uznają wodę z Wisły czerpaną w tem miejscu za względnie czystą, podczas gdy ona przy wodociągu starym jest 200 — 250 razy gorszą. Już zatem zaopatrzenie mieszkańców w wodę naturalną, t. j. taką, jaką się ją otrzymuje wprost z Wisły przy ulicy Czerniakowskiej — byłoby prawdziwem dobrodziejstwem. Jeżeli teraz weźmiemy jeszcze pod uwagę, że woda, zanim się rurami po mieście rozchodzić zacznie, poddaną zostanie starannemu oczyszczeniu przez filtry na Koszykach, pojmiemy teraz, o ile lepszą dostawać się ona będzie mieszkańcom.

Model tych filtrów w naturalnej wielkości widzimy na wystawie.

Są to budowle murowane, całkiem zakryte, z otworami w sklepieniu, służącemi zarazem jako okna i wentylatory. A budowane to jest tak misternie, arkady i sklepienia wykonane tak artystycznie, że całość wzbudza w zwiedzającym podziw i przyprowadza zarazem do wniosku, że jakkolwiek roboty kanalizacyjne kosztują sumy olbrzymie, jednakże tak są prowadzone i wykonane, że pozostaną zapewne dziełem pomnikowem.

Sposób działania tych filtrów jest również unaocznionym na Wystawie. Widzimy tu wszystkie warstwy, przez które woda przesączyć się musi przed wejściem do zbiornika. Najpierw duże granitowe kamienie, pospolicie do brukowania ulic używane, dalej cokolwiek drobniejsze, następnie kilka warstw żwiru od grubego aż do miałkiego zupełnie, wreszcie warstwa piasku. Grubość wszystkich warstw razem wziętych wynosi około 2 łokcie. Woda po przejściu przez nie jest prawie absolutnie czystą: analizy stwierdzają, że ilość części stałych spada w niej prawie do 0. Wodę taką jednak będziemy mieli dopiero po wykończeniu robót wodociągowych; obecna bowiem ilość dostarczana przez nowy wodociąg i filtry jest niewystarczającą, tak że miasto posiłkować się musi wodą ze starego wodociągu, złą w samem źródle i źle filtrowaną. Stare filtry bowiem są to odkryte zbiorniki, sadzawki, że je tak nazwiemy, niezabezpieczające wody od naleciałości zewnętrznych, jak: deszczu i kurzu; właściwie nie filtrują one lecz osadzają.

Drugiem zadaniem kanalizacyi jest odprowadzanie z miasta nieczystości i to od-

prowadzanie szybkie, mające na celu zapobieżenie gniciu nieczystości i wydzielaniu przez nie wyziewów nieprzyjemnych i zdrowiu szkodliwych.

Dotychczasowy system w Warszawie był zupełnie wadliwy. Odchody mieszkańców spoczywają w dołach kloacznych, miesiące całe ulegając gniciu i szerząc wokół woń zabójczą. Jeśli dodamy wstrętną operacyę oczyszczania takich dołów, przy której pobyt mieszkańca w domu jest wprost niemożliwy i przewożenie w wozach często cieknących przez całe miasto — będziemy mieli całkowity obraz owego systemu.

Niemniej wadliwem jest urządzenie ścieków. Wszystkie t. zw. pomyje, czyli wody pochodzące z kąpieli, mycia mieszkań, naczyń itp. spływają w rynsztoki uliczne i biegną niemi swobodnie aż do otworów kanału, nie przyczyniając się również do odświeżania powietrza. Niektórzy stróże, oszczędzając sobie trudu przynoszenia wody do polewania ulic, posiłkują się w celu powyższym wodą rynsztoków, rozmiatając ją po całej szerokości ulicy. O ile to jest dla zdrowia pożytecznem i dla powonienia przyjemnem, dowodzić niepotrzebujemy.

Wszystkich powyższych niedogodności uniknąć będzie można po zaprowadzeniu kanalizacyi t. zw. spławnej, a polegającej na ściekaniu wszelkich nieczystości wprost do kanałów krytych, odprowadzających je własnym spadkiem w krótkim, bo zaledwie 1—2 minutowym przeciągu czasu, daleko po za miasto, i przepłukiwanych ustawicznie dostateczną ilością wody. Kanał taki, kolektorem głównym zwany, już w Warszawie całkowicie wykończono, a model jego naturalnej wielkości znajdujemy na wystawie. Średnica jego jest tej wielkości, że nawet wysokiego wzrostu człowiek swobodnie przechadzać się po nim może; objętość zatem będzie wystarczającą do pomieszczenia całej ilości, wód ściekających z kanałów bocznych ulic i z przykanalików domowych. Do tego bowiem kanału, poczynającego się przy rogatce mokotowskiej i ciągnącego się wzdłuż Nowego - Światu, Krakowskiego Przedmieścia, Miodowej, Zakroczymskiej aż do Bielan, gdzie posiada wylot do Wisły, wpadać będą zarówno przykanaliki z domów przy wymienionych ulicach, jak i kanały ulic bocznych. Wreszcie woda deszczowa otworami, żelazną kratą przykrytemi, a na powierzchni ulic się znajdującemi, wpadać będzie również do kanału.

Tym więc sposobem wszelkie nieczysto wody, nie wchodząc zupełnie w zetknięcie z powietrzem i nie zatruwając go wyziewami, będą mogły szybko spłynąć po za miasto.

Oprócz modelu kanału głównego, przedstawiającego się pod względem wykończenia również jako artystyczne cacko, widzimy na Wystawie i przykanalik łączący wzorowo zbudowany domek przez p. Grancowa.

Fabrykant ten w wyrobach swoich zaczyna dochodzić do coraz większej doskonałości, tak, że już obecnie cegłą z fabryki jego i p. Trecheińskiego zastąpić można sząłzką, używaną przy robotach kanalizacyjnych do wykładania zewnętrznych ścian budynków. Cegła p. Grancowa oraz Trechcińskiego jest jeszcze cokolwiek mniej gładką i nie tak piękną w barwie, spodziewać się jednak należy że i powyższe niedostatki wkrótce zostaną usunięte.

Oprócz modeli w naturze spotykamy na Wystawie mnóstwo planów robót kanalizacyjnych, dotyczących już zkanalizowania całego miasta, już to oddzielnych jego części, już wreszcie pojedynczych posesyj.

Z fabrykantów, oprócz Grancowa wystawili swe okazy: biuro techniczne p. Kamieńskiego oraz firma Doulton i Macdonald; ostatni wystawcy, jako zagraniczni są po za konkursem.

Z urządzeń miejskich, oprócz robót kanalizacyjnych, spotykamy część starannie zabrukowanej ulicy z asfaltowymi chodnikami i wpustami dla wód deszczowych, mostki drewniane pomysłu p. Kleifa, wodotryski różnych systemów, studnie wiercone pp. Zalewskiego i Billinga, waterklozety uliczne, urządzone przez biuro p. Kamieńskiego i fabrykę Otwocką itp.

Różne systemy klozetów, urządzeń kąpielowych i zlewów kuchennych przedstawiły firmy: Kamieński, Matecki & Obrębowicz, Kuksz & Luedtke, i Doulton & Macdonald. Inżenier p. Leszewicz okazał model paleniska, mającego zastąpić śmietniki; pomysł ten wydaje się praktycznym, a bezwarunkowo hygienicznym.

Rozmaite sikawki i narzędzia pożarne wystawił p. Troetzer w osobnym pawilonie. Zbiór narzędzi ratunkowych w czasie pożaru, jak siatki i drabiny, których brak sprowadza tyle nieszczęść, znalazł pomieszczenie w pawilonie 2. Tam również znajdujemy wzory piorunochronów p. Petsch'a, piece chroniące od zaczadzenia pomysłu p. Makowskiego, kaloryfery p. Kulczyckiego, wentylatory p. Poszepnego itd.

Ciekawe są plany hall gimnastycznych i kąpielowych p. Klucewicza, które, jeśliby zostały urzeczywistnione, byłyby wielką dogodnością dla ludności, umożebniając jej korzystanie w lecie z kąpieli zimnych bez odbywania męczącego i pochłaniającego wiele czasu kursu do Wisły.

Zajmujące są również plany krematoryum (do palenia ciał), w którem zamiast dotychczas stosowanego paleniska zastosowanym został płomień gazowy.

Z działu budowlanego pozostaje nam jeszcze mnóstwo okazów, o których pomówić by warto, brak miejsca jednak zmusza nas do pominięcia ich.

W przemysłowym spotykamy wiele przedmiotów mających ścisły związek z hygieną lub niemających żadnego. Rzecz to zresztą trudna do uniknięcia i, ostatecznie, Wystawie ujmy nieprzynosząca.

Rozmaite części składowe odzieży: bielizna, gorsety, suknie, obuwie, kapelusze, wełniana odzież systemu Jaegera, okazana przez firmę Pauzera z Łodzi odzież dla robotników fabrycznych, pościel, druciane materace, łóżka, kołyski, wózki dziecinne, wyroby żelazne, marmurowe, wreszcie mnóstwo makaronów, kasz, pierników, cukierków, czekolady i piwa — oto mniej więcej treść działu przemysłowego.

Na zakończenie wspomnieć jeszcze należy o urządzeniach sanitarnych naszych kolei żelaznych i o rozmaitych systemach oświetlenia.

Nadwiślańska wystawiła staraniem d-ra Lasockiego rozmaite przyrządy ratunkowe, znajdujące się na stacyach: na pomniejszych skrzynki z główniejszemi narzędziami chirurgicznemi, apteczką i opatrunkami, na większych — całe, odpowiednio urządzone izby ratunkowe. Model takiej izby nie na rysunku, lecz w naturze, miniaturowych rozmiarów, widzimy na Wystawie. Spotykamy tam również model sanitarnego oddziału pociągu na wypadek epidemii cholery. Składa on się z 3 wagonów: dla chorych, dla rekonwalescentów i dla służby felczerskiej, a zaopatrzony jest w odpowiednią ilość pościeli, odzieży, naczyń, mogących być starannie dezinfekowanemi.

Oprócz tego w oddziale tejże drogi spostrzegamy tablice, wykazujące ilość i rozmieszczenie służby zdrowia, t. j. lekarzów i felczerów kolejowych oraz analizy wód na rozmaitych stacyach tejże drogi.

Wiedeńska przedstawiła podobnież plany i modele urządzeń sanitarnych u siebie zaprowadzonych.

Inne koleje świecą na Wystawie nieobecnością.

Przechodzimy do oświetlenia. Na Wystawie obecnej panuje bezpodzielnie światło elektryczne, jako najhygieniczniejsze. Przewaga jego nad gazowem lub naftowem polega na punktach: 1-o jest zdrowsze dla oka; 2-o nie pociąga za sobą powiększania w powietrzu ilości kwasu węglanego; 3-o nie rozgrzewa tak silnie powietrza i jest bezpieczniejsze, nie mogąc się stać przyczyną pożaru. Skoro tylko cena jego stanie się przystępniejszą, wyruguje ono prawdopodobnie z użycia dotychczasowe materyały oświetlające.

Na Wystawie spostrzegamy motory elektryczne systemów: poruszany parą, oraz wybuchami gazu i nafty. Ostatni zdaje się być najpraktyczniejszym.

Tak więc pomimo wielu głosów wątpiących Wystawa hygieniczna przyszła do skutku. Że cel osiągnęła i przeznaczeniu odpowiedziała, obecnie nikt temu nie zaprzeczy. Nauczyła nas wielu ciekawych i pożytecznych rzeczy: jak urządzać mieszkanie, jak się odziewać, jak odżywiać, jak wychowywać młode pokolenie, słowem, jak żyć należy, aby zdrowie przez czas jaknajdłuższy utrzymać. Pogadanki popularne, których wystawcy-lekarze i przyrodnicy nie skąpili, utkwiły wielu w pamięci, a miejmy nadzieję nie pozostaną bez wpływu na postępowanie ogółu. Nadzwyczaj pocieszającym objawem, było to, że zawsze miały licznych słuchaczów.

Wystawa obecna, po większej części, przedstawiała okazy takie, jakimi one być powinny, jakie jednak, niestety, dotychczas mają mało u nas zastosowania, spodziewajmy się jednak, że na następnej, nauczeni obecną, spotkamy wzory hygienicznych urządzeń nie w planach i projektach, lecz w zastosowaniu.

BADANIA NAUKOWE.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

XII.

Przybycie nowego potomka metafizyce. — Niefilozoficzni mędrcy. — A Spir. — Świat — labiryntem złudzeń. — Osobowość — niemniej. — Jedynie „norma myśli" istnieje. — Wypływa z niej niepoznawalność rzeczy. — Spór wobec Kanta i Platona.

Narodził się system!

Zjawisko nie powszednie w dzisiejszych czach, więc mu się przyjrzeć wypada. Kant i Comte dmuchnęli w latające po powietrzu bańki—i rój ich opadł, ażeby się nie wznieść więcej. Od tego czasu z mniejszą otuchą zabierają się ludzie do snucia złożonych teoryj; krytycyzm wysadził ostry szczyt swój niby skała podwodna — i oto go omijają ostrożnie, lawirują po przestworzach natury, szukają klucza do zagadek życia społecznego, badają istotę piękna, religii; niechby kto spróbował przedrzeć zasłonę, pokrywającą tajemnicze *peut être*—nietylko że cofnie się przerażony gęstym mrokiem, ale i wyszydzą go pogrobowcy mędrca królewieckiego. Lecz umysł jest jak rozkapryszone dziecko — napiera się tego, czego dostać nie może; on je dostać musi, chociażby przyszło obrócić na nie tę samą *krytykę czystego rozumu* i pod przeróbką własne imię położyć. Są zatwardziali maniacy metafizyki, których nie oziębi w zapale żaden chłód analizy. Budują gmachy na piasku, cieszą się, że na lat kilka w nauce wrzawy narobią, a potem trzeźwość przychodzi po upojeniu nowalią, życie każe zapomnieć o mrzonkach nad zaświatem i koniec końców człowiek tę korzyść osiąga, że mu do dziejów złudzeń jedna kartka przybędzie.

Na palcach zliczyć by można tych, co współcześnie są ojcami systemów pełnych — Hartmann, Dühring, Noiré, Froschhammer, może i nie wszyscy oni sławą przebili się za mur ojczyzny—a już chyba wszyscy zniknął kiedyś w drobnych czcionkach, któremi się oznacza gwiazdy czwartej i piątej wielkości. O anglikach nie mówię: niepoznawalnemu

dali za wygranę, a to, co zrobili dla poznawalnego, zapewni im trwałe miejsce w panteonie wiedzy.

Wyobrażam sobie metafizyka tak, jak przedstawiają mędrców obrazy mistrzów włoskich, jak wygląda np. *Anatom* Rembrandta. Oblicze poważne, czoło zadumy pełne. Z nieruchomych rysów poznajesz, że uparta myśl świdruje mu nielitościwie mózg. Jaka to myśl — dowiadujesz się potem z ksiąg; ale jedną najbardziej skrytą a nieodzowną zatajają one, myśl głupią, niedorzeczną, wspólną pyszałkom i zarozumialcom: „oni tego nie dokonali, ba, zdaje się, że dokonać nie mogą: siedmiu fatalnych pieczęci nie można podobno złamać — a więc... spróbuję ja!“ Każdy systematyk jest w pomyśle swoim artystą, w wykonaniu gimnastykiem, w pobudkach strzelcem, co mierzy do celu, o którym wie, że za odległością strzału leży, jest słowem wszystkiem — ale nie filozofem.

Jeżeli taki probierz jest słuszny, a przecież filozofia lepszymi swymi czynnikami gorąco go popiera, to gotowy mieć będziemy sąd o twórcy najnowszej mozajki myślowej, A. Spirze. Wielką pewność siebie zdradził on w małem dziełku, niedawno wydanem. Ale nie jest ono pierwszem. Poprzednio już w kilku pracach niemieckich, większych rozmiarów *) wyłożył swoje poglądy— zaś nowonarodzone *Esquisses de philosophie critique* zawierają poniekąd ostateczne wnioski i ubrane są umyślnie w szatę francuzką, ażeby zająć szerszy nieco ogół.

Ma to więc być nowa odpowiedź na pytanie: czy umysł nasz może sięgnąć po za granice wrażeń zmysłowych, a jeżeli — to jak daleko? Ciebie, czytelniku, nadzieja ta powinna dosyć przychylnie dla mojego bohatera usposobić, mnie zaś usprawiedliwić, że nad nim dłużej się zatrzymam, pomimo nieufności dla tego rodzaju mitów.

Marność jest klątwą ziemi syna

mówi za eklezyastą pewien żyjący poeta—hipolog. Nie do takiego wprawdzie wyniku dochodzi Spir, ale z podobnego założenia wychodzi. Świat jest, według niego, stekiem kłamstw i oszustw— ale pociesz się— nie z winy śmiertelnych, lecz z winy własnego swego urządzenia. Pókiśmy naiwni, mniemamy, że to, co nas dokoła otacza, istnieje w rzeczy samej, że ma byt trwały, bezwględny — a tymczasem toniemy tylko w błędzie i zaślepieniu. Wierzymy oku, gdy zachwyca się piękną barwą, ponętnym kształtem i miłą nam twarzą; wierzymy uchu, gdy pieszcząc się czarownym dźwiękiem, przenosi go do mózgu i rozkosz sprawia, nozdrzom, gdy woń róży i fiołka wciągają lub gdy odwrotnie— ale lepiej poprzestańmy na zapachach. Są to jednak złudzenia. Przedmioty świata zewnętrznego za nami nie istnieją; zmysły je stworzyły i skazały na byt tak długi, jak długo same żyją.

Dotąd nie zadziwiłem cię pono niczem tak bardzo obcem. Od Protagorasa do Pyrrhona, Hume'a i Kanta śpiewają na tę nutę sofiści, sensualiści i wszyscy sceptycy.

Prawda jednak przez samo powtarzanie jej nie zyskuje na pewności — i trzeba oprzeć ją na dowodach. Jakież przytacza Spir?

Istnieniem bezwzględnem cieszy się to, co nie podlega zmianom, co zawsze i wszędzie jest jednakiem, a że tak zwana rzeczywistość zostaje na łasce naszej natury, jak Proteusz zmienia się bezustannie, dla każdego jest inną, zależną od czasu, miejsca i całego chaosu możliwych warunków; więc wątpić nie można, że ona osłania wielką nicość, że jak maska przykrywa niezrozumiałą krainę nicości.

Takie przeświadczenie nękało już niejednego. Ale uspakajał się myślą, że na oceanie iluzyj zieleni się wysepka — jaźń i ta niewątpliwie istnieje, jako cząstka ducha powszechnego, który wprawdzie uroił sobie wszechświat, ale sam jest absolutem. Spir mamidło to odrzuca i wierzy, że zarówno świadomość, czyli świat wewnętrzny, jak i zewnętrzny wyrósł ze złudzenia. Kartezyańskie *cogito, ergo sum* — zamknęło usta wielu wątpiącym. Inni pokładali nadzieję w uczuciu oporu, namacalności, twierdząc, że wszystko może być omamianiem, tylko wrażenia dotyku — nie. Dla czegoż jemu przyznano palmę pierwszeństwa wśród zmysłów pięciu? Bo zgadza się z najgrubszym, prostaczym pierwowzorem doświadczenia. Dawni powieściopisarze, chcąc odmalować potęgę zdumienia, graniczącego ze stanem dziwacznego snu, kazali jednostce kłuć się szpilką. Metafizyka częstokroć tym samym posługuje się środkiem dla wypróbowania realności bytów. Opowiedziałem już kiedyś, co o takiem dowodzeniu myśleć każe Dunau, który wszelakie wrażenia pozbawia kredytu, ale niezbicie ufa rozumowi. Spir— powtarzam — i tej deski ratunku nie chwyta się.

Ale — gotów kto zapytać — czemże objaśnia on rażący fakt, że wszyscy jednako podlegają złudzeniu? Systematycznością. Dziedzina obłędów przedstawia trwałą i zgodną organizacyę, która sprawia, że nikt z nas po nad czucie wznieść się nie może i, co najwyżej, delikatną analizą jest w stanie rozłożyć zjawiska na części składowe, każdą z osobna sprowadzić do znaczenia fetysza i w ten sposób dotrzeć do pustki, do zera. Właściwość to fatalna praw naszego ustroju, że urobiona o rzeczy idea jest dla wyobraźni zarazem rękojmią swojej prawdziwości. To jedno prawo powszechne. Liczymy ich jednak cały bezmiar, zwąc przyrodniczemi, społecznemi, duchowemi; cała sfera nas otaczająca rządzi się olbrzymim kodeksem żelaznych prawideł, nad któremi ślęczą pojedyncze nauki, ale które dla filozofii są starannie zdyscyplinowanem, wiecznie tem samem państwem ułud. To *fata morgana*, nieokazująca niczem swego nieprawdopodobieństwa, tem zdradliwsze jednak od mirażów pustyni, że ogarniają i nas samych, nasze ciało i naszego ducha.

Tak—ducha; czemże on bowiem pewniejszy jest od ciała? Ono co jakiś okres czasu zmienia się doszczętnie, choć do niedawna twierdziliśmy, że zawsze i wszędzie jest samem sobą. Odbywa się w niem stałe przeróbka materyi, i dłoń dzisiejsza nie równa się dłoni z przed miesiąca. Umysł zaś, chociaż w jedno pasmo wiąże przeszłość z teraźniejszością, jedną nicią łączy wrażenia, chęci i uczucia — jest coraz odmiennym. Inaczej wyglądał w niemowlęctwie, inaczej w młodości, inaczej w wieku podeszłym. Jaźń dzienna i jaźń w nocy nie więcej mają wspólnego, niż sama noc z dniem — tyle tylko, że jednej przyrody urojonej praw słuchają. Osobowość ogołocona jest na równi z krainą rzeczy widzialnych — z jednego niezbędnego warunku rzeczywistości: nie ma — jak mówi Spir — natury własnej, niesprzeniewierzającej się sobie; jest igraszką nieprzebranej liczby wpływów.

Dotąd przeto stoisz wobec nieubłaganego pyrrhonizmu i widząc pogrzeb ducha, nicość bezwzględną, zapytujesz za wspomnianym już wieszczem-koniarzem.

Więc nic? Więc nic, jeno znikomość?
I jeno trosk i żądz omylność?
I tylko marność i bezsilność?
A całem szczęściem nieświadomość...

. . . .

Więc nic! I znikąd nie zaczerpie
Syn ziemi w smutkach swych otuchy!
I nic! i celem grób nu głuchy!..
Dlaczegoż kocham? tęsknię? cierpię?

Spieszę nachmurzone czoło twe rozpogodzić. Ocalała pewna idea, która okupiła srogość wyroku zawartego w tych dźwięcznych strofach. Został pewien pierwiastek apriorystyczny, jako arka Noego w ogólnym potopie, i ukaże nam gałązkę oliwną lepszego jutra. Owem coś jest *norma naszej myśli*, na której stanąwszy, jak na odłamie granitu, spoglądamy dokoła i uczymy się poznawać kosmos. Od niej dowiadujemy się, że wszystko prócz niej samej, jest złem i fałszywem. Ona staje odrazu w przeciwieństwie do istności obalającej, jak cnota do występku, jak nieskalana prawda do kłamstwa. Jest to jakaś miara nieprzedajna, z którą silni jesteśmy, bez której grzęźniemy w błocie. Po wszystkie czasy wierna sobie, zasługuje na miano absolutu. W porównaniu z nią wszystko jest *nienormalnem, a przez nią* usposabia nas wrogo, wywołuje wiekuiste niezadowolenie, bunt przeciwko istniejącemu porządkowi. Jest to jakaś zasada rozdwojenia, w moc której umysł rozdziela wszystko na dwa bieguny, dwa obozy walczące: jednym jest bezwiedne, pierwotne przeczenie prawdy i dobra—drugim cała reszta po za naczelną normą myśli. Pierwszy umie *sądzić* — i w tem tkwi jego siła niespożyta; on się *przeciwstawia* królestwu zmysłów i tem już warunkuje swoją nad nimi przewagę.

„Ale — prawi filozof — zapyta ktoś, jakim sposobem myśl, będąca jeno zwierciadłem wszechrzeczy, posiadać może ład i jasność, które są od niej jak gdyby niezawisłe? Oto myśl zawiera urodzoną i wyższą nad naturę fizyczną — *normę* i ta jest wyższem ogniskiem porządku i światła.“ (*Esq. d. phil. crit. 189*).

Tak tedy uratowano ideę. Ale z szczęśliwego tego odkrycia wypływa nowa bieda. Idea to nastrojona na tak wysoki ton, iż świat zewnętrzny nietylko jest od niej niższym, ale z jej pomocą wcale zbadać i wytłomaczyć się nie da. Gdyby był jej wykwitem, w niej też miałby klucz swój. Ale dzieje się raczej odwrotnie; czysty rozum i dobro nie mogą zatem rozświecać ciemności kłamstwa i zła. Tym sposobem skazani jesteśmy nie żartem na nieświadomość zjawisk zewnętrznych, ba, i wewnętrznych, prócz samej królującej wszechświatu normy myśli. „Przyroda fizyczna — to strona zjawiskowa absolutu, ujęta w formy obce mu“ (str. 183).

A teraz dajmy na to, że nas przekonano, bo też i chce się uczcić ową ideę, taki wieje z niej majestat i podniosłość! Między licznemi formułami świata i jego sprzeczności, ta nie jest wcale najgorszą, owszem dosyć prostą i ogólną. Tylko — gdzie rodowód „normy“? Jaka postać jej bytu?

Tak stawiając kwestyę metafizykowi, narażamy się na nieporozumienie. On nam jasnych i określonych danych przytoczyć nie może. Żywiołem jego — mgła, środkiem nauczania — język wymijający i pojęcia nieścisłe. Podać *określenie* jego pomysłów trudno; można tylko podzielić się *wrażeniem* z nich wyniesionem. Owóż zdaje mi się, że według Spira norma, lubo nazywana przezeń uczuciem absolutu, istnieje tylko jako abstrakcya i nie jako duch, ale jako jego emanacya, wyłonienie, a przedmiotowości w zwykłem znaczeniu słowa nie posiada. Nie przeszkadza to bynajmniej autorowi posługiwać się w definicyach wyobrażeniami, jakich np. używa Kant, który rzecz samą w sobie uznaje za niedocieczoną, ale przed jej realnością nie stawia znaków zapytania. Spir zna tylko nicość zamaskowaną, na tle jej kiełkuje coś istotnego; wszystko jest prawdą względną; nad nią unosi się prawda bezwzględna, obdarzona egzystencyą bardziej powietrzną i niepochwytną, niż niektóre idee Platona, na których jest oczywiście wzorowaną, bo od nich zapożyczyła swą idealność: *norma* to synonim *ideału*. Francuski filozof Peujon w przedmowie do dzieła Spira podnosi wychwalaną jego naukę jako nową odmianę krytycyzmu i ma słuszność o tyle, że i tutaj z jednej strony stają pewne z góry umysłowi nadane kształty pojmowania, od empiryki niezależne, z drugiej zaś — wytwory wadliwego ustroju cie-

*) *Denken und Wirklichkeit*, 2 tomy. *Schriften und Moralphilosophie*, 1 t.; *Schriften vermischten Inhalts*, 1 t., oraz kilka broszur.

lesnego. Ale Spir więcej hołduje sceptycyzmowi.

Streściłem zarysy filozofii teoretycznej. System nie byłby systemem, gdyby nie wysnuwał z niej wniosków na dobro etyki, religii i życia społecznego. Boję się jednak, żem cię, czytelniku, powyższą łamigłówką znużył — odkładam więc ich wykład do *Gawęd* następnych.

Robon Dion.

LITERATURA I SZTUKA.

Z ZACHODU.

XVI.

Zorilla: *Gnomos y mujeres*, Madryt, 1886. — Campoamoz: *Nuevos pequeños poemas*, Madryt, 1887. — *Humoradas*, tamże, 1887. — Gustaw Becquer: *La rime*, tamże, 1887.

Kiedy się umarło, lub — co gorzej — kiedy się postarzało, nie pozostaje nic, jak zapoznane imię na starą sławę, niby na rumaka wsadzić i z możliwą energią wierzgnąć w oczy społeczesnym, którzy, niewdzięczni, daleko naprzód się wysadzili. Na taki los skazany jest w ostatnich latach poeta hiszpański Zorilla. W chwili, gdy zaczął pisać — było to około 1840 r. — romantyzm w reszcie Europy ulatniał się, wywaporowany własną gorączką: cóż dopiero dzisiaj! Nawet Hiszpania przestała być kichotyczną, przynajmniej w literaturze; nie dziw więc, że pozostawiono nieco na uboczu ubóstwianego dawniej trubadura. Stąd skargi. „Gdybym — pisze Zorilla we wstępie niniejszego zbiorku — od pewnego czasu nie był przekonany, że czas mój minął, gdyby pozostał we mnie jeszcze jeden atom próżności, średnie powodzenie mojej *Grenady* kazałoby mi rzucić pióro, niezdołające już zarobić 35 piastrów na kupienie chałupy dla grenadyjskich sierot. Ale że jestem pokornym chrześcianinem i zaciętym mułem, który do ostatniego tchu nie przestaje powłóczyć nogami, chcę jeszcze przed śmiercią okazać wdzięczność tym, co mi dobrze życzą i bronią mię.“ Zorilla skarży się tak wszędzie na ubóstwo; lektor cesarza Maksymiliana w Meksyku, ulubieniec Izabelli, pobierający niegdyś 12 tysięcy franków pensyi — prawda, że brak ich czuć dziś musi. Nie jest to jednak ubóstwo szpitalne; na dostojeństwach równie mu nie zbywa: niedawno wybrany został członkiem Akademii madryckiej. Autor *Grenady*, *Śpiewów trubadura*, *Legendy o Cydzie*, *Don Juana Tenorio*, był w epoce Izabelli prawdziwym narodowym wieszczem: zniechęconej w walkach domowych generacyi odtworzył Hiszpanię świetną, jej rycerstwo, jej boje z maurami, jej zwycięztwa zaszczytne i zaszczytniejsze klęski; przytem nadzwyczajną poetycką płodnością bawił fantazyę i sycił ciekawość; zaklęte zamki, spuszczone przyłbice, wróżki, upiory, damy mdlejące i czepiający się balkonów galanci — wszystko znalazło się tam w wdzięcznej bezsymetryi i bezlogice. Dodatnią stroną poezyj Zorilli była niezmierna śpiewność i sztuka malowania krajobrazów. Forma to starego *romancera*, to nowo stworzona, ale z echem starożytności; opisy zachwycające wiernością kolorytu. Ta sztuka pozostała mu do dziśdnia; jest w tem więcej mimowolności i samonaśladowania, niż świadomej twórczości, są to jednak zawsze w nowszych jego poezyach ustępy najlepsze.

Zbiór więc ostatni, nieusprawiedliwiający treścią tytułu, jest poświęcony damom. Zdaje się poecie, że uwielbiają go. Jest to zaślepienie staruszków.... przypomnijcie Odyńca. Cześć jego pamięci, ale zabawny był czasem w swych młodzieńczych szczebiotach, podrygach i madrygałach, ufny, że każda panienka znajdzie miód w jego całusie. Dobrze, jeżeli staruszek czyściutki... ale nie zawsze tak bywa. Nad wszystkie lubieżności ta jest najbrzydsza.

Najulubieńszym tematem Zorilli, do którego powraca ciągle, zmęczony naśladowaniem Byrona, W. Hugo, Lamartinea, potłukłszy fantazyę śród burz, ołzawiwszy ją wilgocią westchnień, zwątpień miłości, rozpaczy — jest zawsze Grenada maurytańska, bo choć najstraszniejszy z Matamorów, Zorilla, rozrzewnia się nad dolą Boabdila. I teraz w pierwszej części zbioru, poświęconej odtworzeniu legend Alhambry, znajdujemy w *Canzoniere moresco* żale nad upadłym grodem i opis w stylu arabskim, potwierdzający jeszcze raz wielki naśladowniczy talent Zorilli:

Granado, córko słońca, latarnio mórz nieba,
Zwierciadło hurys, płaszczu na ich gibką kibić,
Który Allah przed drzwiami raju raz chciał przybić,
Ażeby mu zasłaniał koralowe bramy;
Skrzynio perłowa, wazo na cenne balsamy,
Z nazarejskiego kiosku pieścidełko cenne,
Święte, jak święta Mekka, jak *Salem* solenne“ itd.

Mimo że w nowym zbiorze nie znajduje się nic, czego by się z poezyj Zorilli już nie znało, a to aż do pojedynczych zwrotów, figur i porównań, serdeczne jednak są ustępy, gdzie poeta biada na starość swą i zapomnienie. Tak początek pieśni III:

Pozwólcie, niech tu, siedząc zdala od świata gwaru,
Piję wiatry, co chłodzą Alhambrę Almaru.
Pozwólcie, uraganu nim tuman się przetoczy,
Niech pod osłoną drzew tych ucieknę i niech oczy
Ja starzec jeszcze raz obrócę za się.

Pozwólcie, niechaj westchnę i łzami się zaleję,
Niech nad grobem pomarzę, myślami poszaleję,
I niech nareszcie zginę, skoro mi ginąć pora,
Z sumieniem własnem w zgodzie; tak odkupując [wczora,
Płacząc tego co dzisiaj i o jutrzejsze drżąc.

Wstańcie mi w duszy znowu marzenia moje ranne,
Jak liście wiatrem wzięte, na morzach zabłąkane;
Wy wszystkie precz odemnie w dal rozfrunięte rzesze
Sokole wróćcie razem ku pochylonej strzesze,
Synowie marnotrawni, powróćcie pod swój dach.

Jeżeli pierwsza część przybrała nazwę od gnomów, jako odtwarzająca czarodziejstwa Alhambry, druga składa się z wierszy ulotnych, poświęcanych damom madryckim, znajomościom poety. Całość może nie byłaby warta wzmianki, gdyby nie poszanowanie, jakie się musi żywić dla najgłośniejszego ze współczesnych poetów hiszpańskich i ta myśl, że są to może ostatnie plody jego pióra; 70-letni starzec niedługo pewnie z rąk je na wieki wypuści.

Za to równieśnik jego (urodzony również w 1817 r.) Don Ramon de Campoamor, poeta dziś w Hiszpanii najulubieńszy, od początku przeciwnik romantyzmu, założyciel nowej formy poetyckiej i nowej szkoły, czytany jest tamże z nieustającem zajęciem. Jaka to forma? Nadał jej nazwę *dolora*. Doloras są to drobne poetyckie utwory, czasem dwuwierszowe jeno, w których myśl filozoficzna łączy się z rzewnością uczucia. Campoamor zarażony również byronizmem zachował zeń sceptycyzm, żal i pogardę nie dla ludzkości, lecz dla życia. Jeden płaczyświatek więcej, ale z ogromnym talentem, często natchniony do panteistycznych jasnowidzeń, nadewszystko zaś oryginalny w stylu, prawdziwe zjawisko wśród hiszpanów, skłonnych zawsze do gongoryzmu, do retoryki i gadatliwości. Obok formy epigramatycznej dramatyczny dyalog, nerwowy, urywany jak łkanie, nadaje się najlepiej do jego natury; próbował dawniej tej formy w większych rozmiarach, ale znów dziwnym między hiszpanami wyjątkiem nie posiada — okazało się — do niej talentu; napisał jeden, alegoryczny *Dramat powszechny*, na który złożyły się *Boska komedya*, *Manfred* i *Faust*; niepojęty pozostał w cieniu.

W *Nowych drobnych poezyach* znajdujemy zebrane razem niedawno publikacye: „Pierścień ślubny, Miłość i śmierć, Orgia niewinności, Jak modlą się dziewczęta itd.“ Wszystkie są monologami i na scenie muszą wywoływać efekt ogromny. Monolog nie jest pomysłem Campoamora, ale francuskim. On umiał nadać swoim ton szczery, raz głęboko tragiczny, raz swobodnie naiwny, wesoły z nieodmiennym odcieniem tęsknoty. W jednym — wdowa, która przypominając sobie minione szczęście, woli raczej zamorzyć głodem siebie i dziecko, niż w ostatecznej potrzebie rozstać się z drogą pamiątką. W drugim — niewierna żona, która patrzy na pojedynek męża z kochankiem w ogrodzie. Wyszła była zań, dowiedziawszy się z jego ust o śmierci narzeczonego. Powrócił, dawne ognie ożyły, mąż pochwycił ich na zdradzie, teraz zabija gacha — kobieta rzuca się z okna. Utwór to niepospolity, szarpiący za nerwy swą tragiczną grozą; szkoda, że w innych filozoficzne refleksye, roszczące prawo do głębokości, przyczepione są do błahych tematów. Tak w trzecim, którego scena na cmentarzu. Dzieci, przyszedłszy z matką na grób ojca, urządzają sobie ucztę z jagód morwowych, rosnących na grobach, nie myśląc wiele o trupach, co pod nimi leżą; co jej daje pochop do ponurego spostrzeżenia, że „świat jest jaskinią lwów, a życie wogóle wielką biesiadą antropofagów! Za to w ostatnim *Pierina* bojąca się w kościele o sińce na kolanach z długiego klęcznika i przeplatająca *Pater noster* narzekaniem na swój stan panieński, posiada pewną dozę humoru.

Campoamor mieni się humorystą, biorąc tę nazwę w znaczeniu angielskiem; poetyckie *Humoreski*, które zebrał niedawno przeważnie rozproszone po peryodycznych pismach, są znowu niczem więcej, jeno *doloras*. Krótkie zdania o formie żywej, obrazowej, przypominające Księgi mądrości Eklezyastę, Ogród róż Saadiego, Arabesk, itd. Sceptycyzm, wystrzelający zazwyczaj paradoksem, myśli gorzkie, rzucane od niechcenia i z uśmiechem, rzec nie można nawet, że zawsze doniosłe. Oto niektóre na próbę:

29. Umierałaś dla niego, patrz, minął długi czas, a jeszcze żyjesz.

59. Pozwól, niech smutek mój opowiada ci o mej miłości, bo kiedy poglądam na twą urodę, jestem jak suchy pień, który zakwita.

74. Nigdy kobieta całkiem nie wyszła ze swej kolebki.

87. Pytam pełen wątpienia: Kto lepszy: dobrzy, czyli sprawiedliwi? I oto wybór mój gotowy: za jednego dobrego oddam wszystkich sprawiedliwych.

Oto dwaj koryfeusze dzisiejszej hiszpańskiej poezyi i trzeci *Nuñez de Arce*, autor Haseł wojennych, *Gritos de combate*, patryotycznych odzewów z lat wojennych 1855—1868, nienawidzący wszelkiej rewolucyi monarchista, a zniechęcony pośród klęsk Hiszpanii, krwią i łzami piszący satyryk, cieszy się popularnością niemniejszą, obecnie jednak odzywa się już rzadko. Cały zastęp tych poetów, których największej twórczości chwila przypada na epokę Izabelli, zwarzyli w niej swój talent jak przedwiosenny kwiat. Jeden z nich, Gustaw Becquer, który umarł w r. 1870 prawie w nędzy, talent fantastyczny, lubujący się w rodzaju czarodziejstw Hofmanna, zgryźliwy wskutek nieszczęść domowych, dziś dopiero w nowem wydaniu dzieł zbiorowych odsłonił się i zapoznany znalazł sprawiedliwość. W poezyach tych zdradza tajemnice swego życia, zawody miłosne, niewierność żony; odzywa się do niej z dumną surowością tłumionej boleści, powstrzymuje łzy, by nie zdradzić słabości serca, które pragnęłoby zapomnieć i kochać. Preludyum nie powstydziłby się wielki poeta:

Zowie się hymnem dziwnym, gigantycznym,
Hajnałem zorzy w nocy przesileniach;
A karty pieśni mojej są rytmicznym
Spadkiem, którym wiatr uderza po cieniach.

I chciałbym pisać pełen świata wzgardy,
Zmieniając język ten blady i twardy
Na słowa gromkie, coby były razem
Szlochaniem, śmiechem, muzyką, obrazem.

Próżny wysiłek, bowiem niema mowy
Coby wydała ten hymn piorunowy
I dość nie piękna, trzymając twe dłonie,
Jeśli go tobie miast światu wydzwonię.

Pewnego dnia ukochana kobieta oddaje się innemu; opowiada mu o tem przyjaciel, cała historya wewnętrznej walki po tem odkryciu maluje się w rozdzierających tonach dalszych poematów aż do rozpacznego finału:

Wy miotające się z rykiem bałwany
Na brzeżną skałę i niby w wańtuchy
Otulając ją w białawe piany,
Weźcie mię z sobą!

Wy nad lasami dzikie zawieruchy,
Których pęd liście z drzew najwyższych
[strzyże
I potem gubi w rozwichrzonym wirze,
Weźcie mię z sobą!

Weźcie przez litość, gdzie mi pamięć moję,
Gdzie mi wir rozum i życie zabierze.
Przez litość, bo sam pozostać się boję
Z taką boleścią!

Każde dotknięcie pióra Becquera wywołuje co najmniej pieścidełko, jak np. krótki wierszyk:

Za spojrzenie świat,
Za uśmiech niebo,
Za pocałunek... ach!
Nie wiem, cobym dał za pocałunek.

Rzecze ktoś, że to poezya zbyt osobista, aby przedstawiała wszechludzki interes; osobista, ale zdradzająca w pokładach dzisiejszych Hiszpanii niepospolite poetyckie i artystyczne skarby, zadająca kłam potwarzy, że biedna ziemia jest krainą umarłych.

Egrot.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Życiorys Agassiza. Przyjemną musi być rzeczą mieć Homera w własnej małżonce. Taka część przypadła w udziale wielkiemu badaczowi ustrojów kopalnych, znakomitemu przyrodnikowi, który do końca życia swego wytrwał w przeciwieństwie do nauki Darwina. Pani Agassiz świeżo wydała obszerną biografię zgasłego małżonka, a szczegóły nadto są ciekawe, by nie nadawały się do przytoczenia. Autor słynnych *Badań nad rybami kopalnemi* był, jak wiadomo, szwajcarem, urodził się w Motier nad brzegami jeziora Morat, w miejscowości włoskiej. Zamiłowanie do nauk przyrodniczych, wykazane już w piętnastym roku życia, obfitym uwieńczone zostało owocem bardzo prędko, bo już w siedm lat później, kiedy to uzyskał naraz stopień doktora filozofii i doktora medycyny. Wówczas ogłosił pierwszą ważną swą pracę *O rybach brazylijskich*. Wkrótce jedno z miast szwajcarskich. Neufchatel, upomniało się o zaszczyt posiadania go swym profesorem; propozycyę przyjął i na tem stanowisku pozostawał do roku 1846. W tym okresie ujrzało świat wspomniane na wstępie studyum, w którym rozpatrzył przeszło dwadzieścia tysięcy okazów ryb kopalnych.

Jednak w Europie było Agassizowi za ciasno. W swej niepohamowanej żądzy gromadzenia materyałów rwał się ku nowemu światu, gdzie spodziewał się znaleźć nietknięte jeszcze skarbnice danych naukowych. Przeczucie nie omyliło go i zachęcony wielkiem w poszukiwaniach powodzeniem, rozwinął energiczną działalność naukową w Cambridge, w stanie Massachusets. Przyjął tam katedrę zoologii ze sporą pensyą 1,500 dolarów. Ulegając swemu zamiłowaniu do zbiorów, zaczął krzątać się koło założenia wielkiego muzeum przyrodniczego nad rzeką Karola, z nieznaczną pomocą rządu. Dzięki jemu muzeum to należy do najsłynniejszych i największych. Zaraz potem podjął się wykładów zologii w szkole medycznej w Charleston, co więcej, w czasie wolnym od urzędowania zwiedzał Jezioro Wyższe, Florydę, i tworzył tak wiele, że katalog wydanych przezeń broszur i dzieł zajmuje przeszło ośm stronic biografii.

Naturalnie tak bezprzykładna pracowitość zaczęła niekorzystnie odbijać się na zdrowiu. Przez czas jakiś nawet, około roku 1852—53, znajdował się w niebezpieczeństwie życia i wskutek tego zmuszony był przerwać prelekcye w Charleston. W tym okresie posypały się nań zewsząd zaszczytne zaproszenia. Świeżo założony wtedy uniwersytet w Zurichu polecał się jego względom; a z Paryża w imieniu Napoleona III, minister Rouland dwukrotnie prosił o objęcie katedry paleontologii. Agassiz dał odpowiedź odmowną, upstrzywszy ją rojem grzeczności i podziękowań, tłomacząc się głównie tem, że zamierza doprowadzić do końca dzieło zapełniania muzeum, rozpoczęte w Ameryce. Nie była to bynajmniej wymówka, ale powód istotny.

Ciało jednak coraz wyraźniej odmawiało posługi. Jednem z największych przedsięwzięć urzeczywistnionych jeszcze była wielka podróż do Brazylii, z której przywiózł tak olbrzymią kolekcyę okazów zwierzęcych i przy tak sprzyjających warunkach, że przewyższył znacznie wszelkie nawet najbardziej wygórowane oczekiwania akademii w Cambridge. Teraz już rozpoczyna się prawdziwa walka z chorobą. Ucierpiało najpierw serce (1869), później mózg (1879) tak, iż nawet mowa została upośledzoną. Pomimo to, zaledwie wrócił jako tako do sił, wybrał się w podróż morską, celem zebrania okazów fauny wielkich głębi. Był to czyn ostatni. W kilkanaście miesięcy po powrocie padł wyczerpany nadludzką, nieprawdopodobną pracą, pochłaniającą bez przerwy niemal dnie i noce— padł, by więcej nie powstać. Przeżył lat 66.

Dla uzupełnienia sylwetki tej niezwykłej postaci dodajmy, iż znajdował jeszcze wolne chwile na podtrzymywanie stosunków z najwybitniejszymi uczonymi swojego czasu, jak z Aleksandrem Humboldtem, Karolem Lyellem, Eljaszem de Beaumont, Milne-Edwardsem i innymi. Korespondencyę w zupełnym porządku przechował dla potomności.

Kilka wreszcie szczegółów z życia prywatnego. Autorka życiorysu, pani Elżbieta była drugą żoną zmarłego. Pierwsza, Cecylia Braun, była mu cenną współpracowniczką, albowiem dzielnie władała ołówkiem. Wykonała ona niejeden z najlepszych rysunków, zdobiących karty nieśmiertelnych dzieł Agassiza.

Z księgi przyrody. Teorya Rudolfa Falba, o której *Prawda* niedawno bliższą podawała wzmiankę z okazyi świetnego potwierdzenia, jakie znalazła w dokładnie przepowiedzianem trzęsieniu ziemi nad „Rivierą“ nie wszystkim meteorologom z zawodu przypadła do serca. Jak wiadomo, objaśnia autor gwałtowne zajścia w atmosferze wpływem odmian księżyca na powierzchnię globu ziemskiego. Z żółcią powiada jedno ze specyalnych pism: kto cokolwiek poważniej zajmował się meteorologią, ten uzna podobne uogólnienia, na pojedynczych wypadkach oparte, za chybione i wprost szkodliwe; dzieje tej nauki wykazują na wielu przykładach, że taka metoda badania prowadzi do najgrubszych i najniesmaczniejszych błędów. Usiłowania Falba mogą być co prawda chwalebnemi, ale nigdy przekonywającemi — są one całkiem pozbawione dostatecznej podstawy (*Meteorologische Zeitschrift*). Ktoś inny znowu uważa całą tę „nieszczęsną teoryę,“ za niedorzeczność. Okazuje się jednak, że Falb na wszystkie te wycieczki zawczasu był przygotowany; spodziewał się nawet gorszych jeszcze, jak to widać ze świeżo wydanej pracy jego p. t. *Pogoda i księżyc* *). Nie szczędzi on tam cierpkich przymówek przodownikom nauki, o których sumienności ma nader niepochlebne mniemanie; nie dziwi się więc wcale, że wolą go bez zachodu z błotem zmieszać, niż rozważyć bliżej jego dowodzenia.

*) *Wetter und der Mond. Eine meteorologische Studie.* Wiedeń, 1887.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jak było w Śniatynie podczas przybycia arcyksięcia Rudolfa. — Jak jest w Poznańskiem podczas przybycia prezesa komisyi kolonizacyjnej. — Litania męczenników patryotyzmu z ostatnich tygodni. — Ciżba szlachty do worka niemieckiego. — Nienasycone samolubstwo. — Rozkoszne marzenia. — Przypadkowe poznanie kraju. — Pierwsze i ostatnie zęby. — Wystawa pretensyi po wystawie hygienicznej.—Kolumna Zygmunta. — Żarty p. Arambury.

Gdy w Śniatynie „tłum,“ naczytawszy się zapewnie artykułów w *Czasie* o „dziejowym fakcie“ i „dziedzicu miłości Jagielonów,“ przerwał obręcz ochronną i „pomimo całych wysiłków szlachty“ rzucił się na dworcu do przybyłego następcy tronu, arcyksiąże „widocznie zirytowany,“ rzekł do jednego z dostojników: „Sagen Sie dem Publicum, dass es sich ruhiger benehmen soll.“ *). Czy te gniewne słowa, czy „wysiłki szlachty“ podziałały skutecznie, dość, że „tłum przeraził się“ i zapamiętał sobie, że w „fakcie dziejowym“ nie można tak uczestniczyć i przedmiotu „miłości gorącej“ witać bez ceremonii. Krzyknięto mu bowiem w uszy (tem śmielej, że arcyksiążę w swoim Olendorfie polskim tych wyrazów nie posiadał): „poszła won, kanalia: wrzeszczeć zdaleka: hura! i kochać pana!“

Inaczej w Poznańskiem. Tam przyjechał dostojny gość, prezes niemieckiej komisyi kolonizacyjnej, hr. Zedlitz. Na każdym dworcu rzuca się ku niemu szlachta, którą zwartym łańcuchem powstrzymują chłopi, ale ona rozrywa koło, a zgnieciony prusak woła do swego orszaku: „Sagen Sie dem Publicum, dass es sich ruhiger benehmen soll.“ Tam przyszłemu monarsze tłum chce okazać swoje przywiązanie, tu szlachta — pod stopami tępiciela narodowości polskiej pragnie złożyć (za pieniądze) swoje ziemie. Ciżba straszliwa! Obejrzmy ją chociaż pobieżnie.

„Niestety — pisze *Gazeta rolnicza*, która jeszcze umie i „chce nie wierzyć tego rodzaju doniesieniom“—wiadomość ta nie ulega wątpliwości,“ że... hrabia Józef Czarnecki sprzedał niemcom 15,636 morgów — „możny pan, który, aby wyjść na swoje, potrzebuje *tylko* ograniczyć zbytek.“

Pani Golczowa (*ci devant* — „zacna matrona“), „której stan finansowy *nie znaglał* do pozbycia się ojcowizny,“ złożyła na ołtarzu Germanii folwark Czuwujewo.

Kuryer warszawski donosi, że p. Jan Grabowski sprzedał komisyi wieś „rycerską“ Żórawieniec, a p. Kobyliński — dobra Kijewo pod Chełmem. Ogółem „w ciągu ubiegłych *trzech tygodni* komisya ta nabyła 30,000 morgów polskiej ziemi.“

Może to był ostatni i największy paroksyzm, po którym nastąpi przesilenie? Pożyczam sobie od *Gazety rolniczej*: „niestety!“ *Kuryer* wtorkowy bowiem obwieszcza: „Znowu sprzedał *dobrowolnie* komisyi kolonizacyjnej wieś Chłędowo 521 hekt. obszaru p. Bąkowski. Według obliczenia *Ost. Presse* komisya w ubiegłym tygodniu skupowała majątki prawie *codzień*; w trzech dniach nabyła 30,000 mrg. t. j. po 10,000 mrg. dziennie! Rzecz prosta, iż wobec takich „zdobyczy“ należało radzić; to też komisya zebrała się d. 3-go b. m. na plenarne posiedzenie, na które zjechali z Berlina jej człon-

*) Powiedzcie publiczności, ażeby się zachowywała spokojniej.

kowie zamiejscowi. Obradowano pod przewodnictwem hr. Zedlitza od 10 rano do 12 w nocy. Oprócz komisyi, skupują majątki i inni handlarze niemieccy: folw. Cwierdzeń w gnieznenskiem przeszedł z licytacyi w ręce landszafty poznańskiej, która prawdopodobnie odprzeda go komisyi; folwark zaś Biezdrówka pod Miłosławiem nabył od spadkob. Rakowskiego p. Trips ze Środy."

Ks. Bismark parska śmiechem i powtarza: „Umarli prędko jadą!", a oblężony hr. Zedlitz, szafarz funduszu germanizacyjnego, woła w rozpaczy: „Nie tłoczcie się panowie, bo my nie mamy tyle pieniędzy, ile ich łaknie wasz... patryotyzm; widzicie przecie, że nie możemy strawić tego, co nam w gardło pchacie, i musimy radzić do 12 w nocy."

A więc szlachecka publiko, „du sollst sich ruhiger benehmen." Nie szturmujcie tak swoją miłością ojczyzny do worka niemieckiego; na wszystkich przyjdzie kolej, a Monaco nie ucieknie. No, cóż panowie obrońcy większej własności ziemskiej, teraz pora szeroko otworzyć usta, a wy je sznurujecie? Chłop rzadko i zaledwie okruch uskubnie z bochenka „ojczyzny," ale kiedy możni panowie z niego ukroją, to duży kawał — po „rycersku." Pewne zacne serce, oświecone promieniami świetlanego umysłu, wyznało kiedyś, że najtrudniej mu przychodzi kogokolwiek potępić. Ale i to serce wobec tłoku patryotów poznańskich do pruskich srebrników musiałoby chyba zdobyć się na złorzeczenie. Zsumowawszy nawet wszystkie kłopoty i smutne konieczności, w jakich znaleźć się może ziemianin, nie otrzymamy dostatecznego usprawiedliwienia faktu — tłumnej wyprzedaży ziemi na wynarodowienie, bo często jest ona „dobrowolną." Niech adwokaci dziennikarscy wykręcają ten fakt, jak im się podoba, nie zakryją w nim strony szpetnej. „Coś gnije w państwie..." szlacheckiem.

Korespondent z Lubelskiego donosi nam, że wielu „obywateli" tamtejszych skrapia łzami... wdzięczności? nie — żalu ostatni ukaz, zabraniający niemcom kupowania ziemi, a więc obniżający jej cenę. To nie odosobnione, ale zbiorowe „narzekania na brak konkurencyi ze strony niemców — powiada autor listu — słusznie budzą w nas uczucia bardzo przykre, wykazujące, że ziemię, na której wzrosły i wykarmiły się długie szeregi pokoleń, którą ojcowie nasi krwią swoją i potem zraszali, uważamy dziś za towar, gotowi odstąpić go każdemu więcej dającemu." W historyi naszej stale uwydatniało się samolubstwo t. z. szlachty, która dla interesu, dla doraźnej korzyści, dla marnego nieraz zysku poświęcała dobro narodu i wyprzedawała je kawałami, dopóki nie przehandlowała całego. Ale taki egoizm, jaki obnażył się bezwstydnie teraz, urągał swą sromotą zasadom moralnym zaledwie w epokach najgorszego zepsucia. Dzisiejszy szlachcic, jeżeli nie jest zacnym wyjątkiem, marzy o wysokiej cenie ziemi, podnoszonej przez nieograniczone współzawodnictwo do niej żywiołów obcych, o wysokich cenach produktów rolnych, o zubożeniu wszystkich warstw społeczeństwa na jego korzyść. Gdyby korzec żyta kosztował tyle, co korzec pereł, gdyby funt chleba wymieniano na funt srebra, gdyby ubogi robotnik tylko w święto uroczyste mógł kupić sobie bułkę, gdyby cukier stał się zbytkiem, gdyby chłop za 15 kopiejek pracował pół doby — wtedy dopiero ci „obywatele" śpiewaliby: hosanna! Jest to otchłań chciwości nigdy nienasycona. Pod wpływem wiecznego głodu samolubstwa zapominają oni o narodzie, o jego przyszłości, o obowiązkach i koniecznych ofiarach — umieją jednocześnie rozpaczliwie skarżyć się na okrucieństwo Molocha pruskiego i wrzucać mu w paszczę karm, utyskiwać nad zalewem niemieckim i nad usypanemi przeciw niemu groblami. Dziwny gatunek ludzi, a przedewszystkiem moralnie zwyrodniały. Czasem zdaje się, że nie odczuwają śmiertelnej boleści narodu, że w ich sercu tracą moc najsilniejsze pobudki, że doznają tylko wzruszeń Ugolina. Gdyby te sprzedaże poznańskie i lamenty tutejsze objawiły się po latach dwu, trzech, dziesięciu, możnaby je wytłomaczyć przytępieniem wspomnień i bodźców; ale one zbiegły się z echami jęku ofiar, dławionych ręką niemiecką. Ażeby w takiej chwili myśleć wyłącznie o własnej kieszeni, na to trzeba w niej mieć... serce.

Ukaz, ograniczający cudzoziemców w nabywaniu ziemi, wyświadczył nam jedną ważną przysługę, mianowicie — pobudził nas do poznania kraju. Wiedzieliśmy, że zachodnie jego pasy są gęsto wyszyte niemcami, prawiliśmy dużo o „polskim Manchesterze," jak z mimowolnym humorem nazywano Łódź, ale miary podboju germańskiego nikt nie umiał określić. Dopiero po ukazie zaczęto „gości" w domu liczyć i tym sposobem przekonano się, ile miejsca zostało dla gospodarzów. Stosunkowo, zwłaszcza w pewnych dziedzinach posiadania — bardzo niewiele. Statystyka przemysłu tak wymownie ilustruje „polskie Manchestery," że gdyby ktoś miał ochotę śmiać się ze złudzeń w tym względzie, uśmiałby się do syta. Ale ponieważ — jak ktoś dowcipnie wyrzekł — pierwsze złudzenia są podobne do zębów mlecznych, które wypadają same, a późniejsze — do drugich, które z bólem wyrywać trzeba, więc nie przypuszczajmy, że pomimo ukazu za lat kilka będzie inaczej. Niemiec wyjdzie, czy tam wyrzucony zostanie drzwiami, to wejdzie oknem.

Wystawa hygieniczna zamknięta, teraz zacznie się wystawa pretensyj niezadowolonych jej uczestników. To konieczne, bez tego stracilibyśmy punkt ciężkości życia. Najwspaniałomyślniejsza szczodrobliwość w rozdawaniu nagród nie pomoże. Czytając ich listę, daremnie przypominałem sobie takiego kopciuszka, któryby nie otrzymał bodaj listu pochwalnego. Z rogu obfitości pięknej Hygei, zastępującej Fortunę, wysypały się dary dla wszystkich. Mimo to, ponieważ komitet nieoględny nieco ustopniowiał odznaczenia, więc nie zapobiegł tworzeniu się bakteryj „pokrzywdzonych." Kiedy wystawca powinien był dostać dyplom I klasy, wtedy... ba, wtedy także nie wszyscy byliby zadowoleni, bo w zrównaniu z innymi widzieliby swoją szkodę. Przy obecnym systemie *liberum veto* ma jeszcze szersze pole. „Pamiętaj panie ekspercie — pisał do d-ra Kobylińskiego jeden z przeczuwających niepowodzenie — że dentyści nie zrobili sobie nadarmo kosztów, przyjmując udział w wystawie, i jeżeli nie otrzymają (wszyscy!) co najmniej listu pochwalnego I klasy, dostaniesz pamiątkę na całe życie." O opryszkach, rozdających ekspertom „pamiątki na całe życie," po wyłączeniu z konkursu dentystów, dotąd nie słyszeliśmy; ale że wielu wystawców tak samo rozumowało, „robiąc sobie koszt," to nie ulega wątpliwości. Według nich, był to jarmark, na którym nikogo nie należało wyróżniać.

Tymczasem był to nietylko jarmark, lecz także niezmiernie pouczające okazanie naszych warunków i czynników zdrowia, za co twórcom wystawy opinia przysądziła — dyplom uznania, nie wywoławszy protestu nawet ze strony tych, którzy, udając Herkulesów, ślicznej Hygei chcieli w kolebce zerwać głowę.

Kolumnę Zygmunta już rozebrano i zdjęto. Stanie nowa, ze starej zaś — według jednego z pism — handlarze zakupili marmur „na rozmaite wyroby." Czemuż oczy naszych płaczek dziennikarskich suche? To pamiątka nie gorsza od innych, od wielu skorup porcelanowych, które miały szczęście dotykać ust jakiegoś magnata, a które antykwaryusz niemiecki lub angielski wywozi do swych muzeów. Czemuż tak spokojnie przyjęliśmy wiadomość, że kolumna Zygmunta posłuży za materyał do wyrobienia różnych drobnych przedmiotów? Czyż jej nie mógł nabyć który z panów polskich i zachować w swym parku? Doprawdy, już całkiem straciłem miarę, co u nas zowie się „szacownym zabytkiem przeszłości." Filiżanka po Szczęsnym Potockim — jest drogocenną pamiątką, marmur z kolumny Zygmunta — nie, licho zgadnie, kiedy reporterowie każą się rozczulać.

Już nawet śpiewak hiszpański Aramburo (nie mówiąc o p. Salamońskim) dostrzegł, że można sobie u nas żartować. W tej samej operze, tego samego wieczoru, jedne ustępy wykonywa świetnie, a inne półgłosem, od niechcenia. Krytyka z publicznością łamią sobie głowy, co znaczy ta różnica, a to poprostu znaczy, że p. Aramburo nic sobie z nas nie robi i kiedy mu się podoba, to śpiewa, a kiedy — nie, to nuci. A my: brawo! brawo! Filut z tego hiszpana.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Podboje teutońskie. — W polskich nazwiskach niemieckie dusze. — Gdzie niemców plecy, a gdzie nasze? — Obliczenia warunków kapitalizmu swojskiego. — Pierwsze tchnienia ducha przedsiębierczości i ich postacie. — Upadek ekonomiczny i moralny w Wilkowyskiem. — Geneza proletaryatu w *Gazecie rolniczej*. — Użyteczność pesymizmu. — Kwestyonaryusz *Gaz. świątecznej*. — Co zbawi Świątniki. — Samosąd chłopów i ich cierpliwość. — Głodnemu chleb na myśli.

Patrzę na rosnącą świadomość naszą stopnia podbojów teutońskich i doznaję upokorzenia dumy narodowej. Rzeczywistość odsłaniająca się mogłaby najzacieklejszego optymistę napoić zwątpieniem. Stosunki plemienne swojej wytwórczości, chociaż w przybliżeniu, znaliśmy poniekąd. Teraz przychodzi kolej na poznawanie wyłomów, dokonanych przez zabiegliwych niemiaszków na innych polach. Nie przypuszczaliśmy podobnego stanu na wsi, uważając go za właściwy Księstwu poznańskiemu. Oto w powiecie łódzkim są kolonie, gdzie nazwy polskie chodzą w parze z niemieckiemi, np. Nowosolna ma drugie imię *Neusaltz* lub *Salzfeld*, Wola Łaznowska — *Grünbach*, Zielona Góra — *Grünberg*, Burowo — *Wilhelmswald*, Kurowiec — *Königsbach* itd. Nie dość na tem. W osadach tych są polacy, nieznający rodzinnej mowy i swej narodowości. Tam *Sapiński* jest skończonym niemcem, a *Beczkowski* przedzierzga się w *Tonn'a*!.. Jednakże zjawisko to daje się tłomaczyć przewagą ludności niemieckiej w niektórych osadach. Są parafie (Konstantynów) liczące przeszło 3,000 dusz, z których 2,000 niemców. Łódź jużeśmy przywykli oddawna uważać za wielką retortę, służącą do wytwarzania nowych związków z pierwiastków etnograficznych. Szczególnie jej zakłady przemysłowe spełniają tę rolę znakomicie. W nich nie jest rzadkością spotykać robotników z polskiemi nazwiskami (Sobierajski, Jozefowicz, Sobocki) lecz zgermanizowanych. Korespondent *Kuryera warsz.* poznał najemnika polaka, który się dawniej zwał Ciesielskim, a dziś dla łatwiejszego pozyskania zajęcia, przemienił to nazwisko na — Zimmermanna. *Sclavus saltans* przebudził się w biedaku...

Teuton jest inny. Przewagą uzdolnień cywilizacyjnych będzie torował sobie drogę, w razie ostatecznym pięści użyje do rozszerzenia kresów *Vaterlandu* lub milczkiem słupy graniczne posunie w głąb cudzego terytoryum, bo nad nim czuwa „prawo wyższości rasowej." Właśnie jeden z objawów tej natury — wedle doniesienia *Kaliszanina* — odkrył w Bolesławcu niedawno p. Grigorewicz, delegat ministeryum spraw zagranicznych. Wyszło na jaw, że dawniejszy słup graniczny zabrnął aż na terytoryum tutejsze, skutkiem czego kęs ładnej łąki wszedł w skład państwa pruskiego. Władze miejscowe posiadają *corpus delicti*.

Kwitnie w tejże okolicy jeszcze inne nadużycie. Mieszkańcy pograniczni, posiadający grunta za kordonem (za Prosną) narażani są ze strony urzędników pruskich na opłatę celną za przewóz ziarna tam zebranego.

Skoro tak rzeczy stoją, co nas zbawi? Dzierżawca majoratu pewnego, szczery prusak, gdy rekomendując się naczelnikowi powiatu (nowo-aleksandryjskiego), usłyszał o nowem prawie, uśmiechnął się dumnie, bo czuł filut, że jego zbawienie spoczywa w plecach rzeczywistego radcy stanu... A nasze? Oczywiście w nowem prawie. Tyle o niem mowy różnorakiej w prasie, że milczałbym, gdybym nie przypomniał sobie szczegółów korespondenta *Kur. warsz.* z Łodzi. Sądząc, że wobec „poruszonej kwestyi“ zastąpienia robotników cudzoziemców krajowcami, pożądane będą (dla zastępczych eksploatatorów siły roboczej?) dane o włościanach bezrolnych, zebrał on ich z powiatu łódzkiego sporą wiązkę. Według poszukiwań urzędowych, z 20 gmin, tylko w 2 (Babice i Gospodarz) w roku zeszłym nie było wcale bezrolnych. W pozostałych przedstawiają oni takie gromady. Rszew 5,605, Puczniew 1,200, Brus 1000, Nowolna 862, Radogoszcz 300, Dzierzązna 193, Żeromin 150, Łagiewniki i Chojny po 70, Brojce, Lućmierz, Rąbień i Czarnocin po 50, Brużyca 40, Górki 37, Bełdów 30, Nakielnica 25, Wiskitno 20. razem 9,797 bezrolnych! „Jest to wyborny materyał na wytworzenie krajowego robotnika fabrycznego!“ — woła korespondent. Nigdyśmy nie wątpili o istnieniu u nas warunków kapitalistycznej produkcyi, jak nie wątpimy, że będą one wyzyskane przez rodzimych kapitalistów, jeśli ich duch przedsiębiorczości ożywi. Że przypuszczenie to nie igraszka słowna, przekonywa nas ruch stowarzyszania się, obudzony śród szlachty. Lubi on dotychczas przybierać skromną postać komandyty, bo ujawnia go klasa ludzi nienawykłych do działalności kupiecko-przemysłowej, ależ i dziecko' nieśmiało stąpa, zanim sił w nogach nabędzie. W krajach stojących dziś na wysokim poziomie gospodarczym spółka komandytowa także służyła za pieluchy potężnych dziś zwrotów ekonomicznych. Pp. F. Budziszewski, S. Golcz i W. hr. Walewski, uciekając się pod jej dobroczynne skrzydła, dali dowód dobrego zrozumienia interesu własnego. Zmiarkowali, że są za słabi, żeby wypchnąć z swych dawnych rynków niewyczerpaną Amerykę, więc skierowali wzrok tęskny ku wielkim miastom niemieckim, dokąd wywiadywaczy wysłali, ważąc w myśli, która istota świata zwierzęcego weźmie na się rolę podpory? Szczeć najeżyła się na karku świni z oburzenia na obowiązek podpierania zachwianych potomków rycerzy. Do trzech ziemian przyłączyło się 25—30 współziemian i powstała spółka komandytowa do handlu mięsem. Jedni mają dostarczać towaru surowego do Brzostówki p. Golczowi, a ten już zajmie się przyrządzeniem i wysyłką na miejsce przeznaczenia.

Wobec powyższego zwrotu w działalności szlachty, przykre są łkania *Gaz. rolniczej* nad dolą własności wielkiej w pow. wiłkowyskim. Lasy tam znikły, a z nimi ratunek ostatni: prostym więc tego wynikiem — kurczenie się. Inwentarz się skurczył, służba — również. Smutne! *Gazeta* nadmienia, że najsmutniejszym jest tam upadek moralny, który nastąpił po ekonomicznym. Zbrakło energii, a „niezaradność,“ „sobkostwo“ i „nieżyczliwość sąsiedzka“ dopełniły miary złego. Doprawdy smutne. Logika w wiłkowyskim powiecie także nie wesoła być musi, sądząc z następnych zdań korespondenta: „Zmniejszają (właściciele) również ilość służby, *wskutek czego proletaryat się zwiększa* (!), wielu ludzi zostaje bez kawałka chleba, a o zarobek bardzo ciężko“? Dzięki tedy nieuwadze redakcyi dowiadujemy się po raz pierwszy, że proletaryuszami są ludzie pozbawieni zajęcia, nie zaś, jak dotąd bywało, ludzie skazani na pracę najemną. Jednakże, pomimo owego usterku w rozumowaniu, pochwalamy pesymizm korespondenta. Temu to nastrojowi umysłu chłop wilkowyski zawdzięcza sympatyczny oddźwięk swej niedoli w piśmie „obywatelskiem.“ Włościanin tameczny źle się odżywia przedewszystkiem. Wkrótce zapomni o istnieniu chleba, bo już teraz nauczył się obywać bez niego. Gomółka z ugotowanych ziemniaków (tołkanica) w zimie, dzbanek czernic lub cokolwiek bedłek w lecie — oto i cały posiłek kmiecy. Korespondent z trudnością pojmuje, jak ludzie przy tak skromnej strawie „już nie pracować, ale poruszać się mogą.“ Rozprasza on sobie wątpliwości starem przysłowiem swojskiem: wiele ten może, kto musi.

Jest jeszcze i inna prawda: wiele ten może, kto chce. *Gaz. świąteczna* nie dużo może... wiem, że nie wszystkie pragnienia dano jej ujawniać, niektóre jednak — spełnia. Zaciekawiła Promyka misa chłopska, wystosował do swych czytelników artykuł z zapytaniem: „Jak my się żywimy?“ Przyznać trzeba, że wymowy i prostoty wykładu swoich myśli nie poskąpił. Objaśniwszy faktami z tkanki życiowej chłopa, że jak nie wszelki pokarm idzie na pożytek zboża i bydlęcia, równie nie każdy posiłek jednakowo podnosi zdrowie i siły ludzkie, dołącza czytelnikom kwestyonaryusz z 40 pytań dostępnych. Gdyby na wszystkie i z wielu stron nadesłano odpowiedzi, mielibyśmy pełniejszy niż dotychczas obraz bytu ekonomicznego ludu. Są u nas inteligentni, którzy nie przyznają doniosłości tych poszukiwań, choćby dlatego, że je wywołują drogowskazowe rzuty światła współczesnych wielkich teoryj. Tacy po za długość nosa swego okiem nie sięgają i o nich *Gaz. świąteczna* nie powinna dbać.

Nieszczęsne Świątniki! Od ciemiężyciela rycerza, jak podanie głosi, wybawiła je przed wiekami królowa Jadwiga, ale od lichwy, oplątującej jej mieszkańców dzisiaj, nie prędko chyba którakolwiek siła współczesna wybawi. Lat temu dwa, pod Sandomierzem sprzedawano majątek ziemski Biestrojowice. Dobroć gruntów skusiła świątniczan. Poszli do właściciela majątku godzić się, lecz ten taniej nad 150 rs. za morg nie chciał ustąpić. Pozapisywali się, ile kto weźmie, a umówioną zapłatę rozłożyli na części. Dla uiszczenia pierwszej spłaty wyprzedali dobytek i sprzęty domowe, ostatnią krowę, świnię, pościel. Drugą tuszyli sobie zbyć plonem zebranym i sprzedanym. Gdy opłata najemnika, podatków i własne utrzymanie dowiodły im płonności nadziei, zwrócili się o pieniądze do Jankla. Nie odmówił ludziom w potrzebie i udzielił pożyczki. Z nadejściem za to młócki odwiedza stodoły i ściąga procent na furę. Odsetka nie grzeszy wysokością nadmierną: jeśli np. jeden gospodarz pożyczył 50 rs., dać musiał zboża za 65, nie umarzając wcale kapitału pożyczonego. *Gaz. świąteczna* radzi świątniczanom przyjąć na siebie solidarną odpowiedzialność celem zaciągnięcia jednej dużej pożyczki na mały procent dla prędszego wyzwolenia się z rąk lichwiarza. Szkoda, że nie wskazuje, ktoby im jej udzielił.

Dane są: obieralność ławników, nieskazitelna uczciwość sędziów gminnych, niewątpliwa ich bezstronność w rozstrzyganiu spraw, a jednak wynik z współdziałania tych czynników dla *Koresp. płock.* wypada nieoczekiwany. Lud wiejski i małomiasteczkowy zawsze żywi nieufność do swej prawowitej instytucyi i woli pomagać sobie samosądem. Zdanie ogólne popiera fakt. W ostatnich dniach czerwca w okolicach Raciąża, we wsi Chądzyn, gm. Gutkowo, pow. sierpeckim, pewien włościanin ujrzał rankiem wychodzącego z jego własnej stajni niejakiego Kozłowskiego. Posądzając go o zamiar uprowadzenia koni, zwołał sąsiadów. Otoczono go, zbito i palce u nogi odcięto siekierą. W mniemaniu, że kara niedostateczna, odesłali wrzekomego złodzieja do wójta gminy w Uniecku. Wójt, przerażony ranami, odesłał go lekarzom do Raciąża, ci wyprawili pacyenta do Koziebród, skąd dopiero dostał się znów do Sierpca. Zgadzamy się z *Koresp. płockim* na barbarzyńskość postępku, ale wierzymy, że popełniony był nie z zamiłowania. Tutaj wina po stronie okoliczności, wytwarzających specyalny kierunek myśli i uczuć u chłopa. Bezwzględnie potępi go ten tylko, kto nie pojmuje przywiązania kmiecia do inwentarza żywego i nie ocenia wadliwości postępowania sądów.

Istnieją wszakże miejscowości, gdzie cierpliwość chłopska dosięga szczytu. We wsi obok Duninowa za Płockiem, na lewym brzegu Wisły, jest parobek, znany na całą okolicę złodziej, któremu w ciągu 26 lat nigdy nie dowiedziono kradzieży, dzięki wyłgiwaniu się przed sądem i teroryzowaniu świadków pogróżkami spalenia. *Korespondent płocki* powinien staranniej zestawiać fakty ze sobą, jeśli pragnie wątpliwości uniknąć.

Niezbadane są tajniki duszy chłopskiej. Pośród ludności wiejskiej pow. skwirskiego obiega uparta pogłoska o mniemanym „ukazie,“ zobowiązującym robotników do pracy tylko za wysoką płacę (mężczyzni po 2 rs., kobiety po 1 rs. dziennie). Nieposłusznego jakoby ma spotkać kara. Pod wpływem tego prądu kilka rodzin włościańskich wsi Tryles, w pow. wasylkowskim, opuściło roboty na plantacyach cukrowni korpińskiej. Ulękli się pogwałcenia ukazu.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Warsz. Dniewnik pisze: „Z pewnych źródeł otrzymujemy wiadomość, iż z liczby towarzystw akcyjnych, operujących w granicach gubernii piotrkowskiej, następujące nie mają pozwolenia na prowadzenie swych czynności: zakłady górnicze v. Kramsta, zajmujące się eksploatacyą węgla kamiennego, cynku i wyrobem maszyn w pobliżu wsi Zagórze i Niwka, w pow. będzińskim. W zakładach tych pracuje przeszło 2,500 robotników, a obrót ich roczny przenosi 3 miliony rubli; towarzystwo rozpoczęło swe istnienie w 1844 r. Toż samo towarzystwo posiada w Sosnowicach fabrykę bieli cynkowej, istniejącą od 1860 r. z rocznym obrotem 150 000 rs. i 28 robotnikami. Dalej kopalnie austryackie „Länderbanku“ (Maciej) w pobliżu wsi Gołonóg, tegoż powiatu; w kopalniach pracuje 325 robotników, obrót zaś roczny wynosi przeszło 100,000 rs. Pozwolenie na urządzenie kopalni wydane było poddanemu rosyjskiemu w 1876 r.; na przejście ich w ręce Länderbanku pozwolenia nie wydano. Nareszcie towarzystwo akcyjne pod firmą „Compagnie générale des industries textiles,“ posiadające w Łodzi własną fabrykę przędzy, obracające rocznym dochodem 1,300,000 rs. przy 475 robotnikach. Prócz tego w gub. piotrkowskiej funkcyonuje jeszcze 11 towarzystw zagranicznych, chociaż posiadających świadectwa, lecz wydane w sposób niewłaściwy.“

Na innem miejscu: „Można śmiało powiedzieć, że niemal 75% przemysłu węglowego znajduje się w rękach cudzoziemców, którzy nietylko prowadzą eksploatacyę sposobem rabunkowym, przyczem 50% węgla przepada bez korzyści, lecz nawet z pewnymi, bynajmniej do uczciwych nie należącemi celami. Okazuje się, iż cudzoziemcy nie tyle jeszcze wyniszczają kopalnie węgla, ile starają się je posiąść w celu zgromadzenia w swych rękach jak można najwięcej powierzchni kopalnej ze szkodą interesów rosyjskich. Inżenier górniczy T. Brusnicyn w raporcie swoim, złożonym towarzystwu technicznemu w Petersburgu, przytacza przykłady tego rodzaju chciwości ze strony cudzoziemców. I tak, w pierwszym okręgu górniczym Królestwa Polskiego, gdzie koncentruje się eksploatacya węgla, istnieją 262 place eksploatacyjne; z tych 161 należy do cudzoziemców, a prócz tego 24 znajduje się w dzierżawie, tak iż w ręku krajowych górników znajduje się tylko 77. Z ogólnej tej liczby na 176 działach nie odbywa się eksploatacya, a mimo to towarzystwo cudzoziemskie

nabyło znów 53 działy, z których znów część tylko użytą została do eksploatacyi. Z tego też powodu — mówi dalej *Warsz. Dniewn* — niema wątpliwości, iż prawo z d. 21 maja (cło od węgla) i z d. 26 marca (ukaz o cudzoziemcach) przyniosą istotną korzyść rozwojowi przemysłu kopalnianego w Królestwie Polskiem."

Reforma egzaminów. Dotychczasowy system egzaminowania na świadectwo dojrzałości, istniejący od 1871 r. po gimnazyach klasycznych, uledz ma zmianie. Będzie ono piśmienne i ustne zarówno dla wszystkich przedmiotów. Nastąpi to celem wzmocnienia wiedzy wychowańców szkolnych.

Spółka. Wedle doniesienia *Gaz. rolniczej* ma wkrótce powstać w Warszawie spółka kapitalistów do zakupywania dóbr i fabryk od poddanych zagranicznych, dotkniętych najświeższym ukazem.

Kanał Onezko-Białomorski niebawem zaczną kopać. Trzy partye, które się zajmą badaniami w tym celu, opuściły już Petersburg. Na czele partyi hydrotechnicznej stoi inżenier Dwierski.

Szkoła chmielarstwa. We wsi Fellpinie, pod Dorpatem, będą założone plantacye chmielu. Pragnący nauczyć się chmielarstwa będą tam przyjmowani bezpłatnie na praktykę. Nauka wyniesie 3 lata.

Zniesienie nazw niemieckich. W gub. suwalskiej koloniści niemieccy osadom i folwarkom swoim podawali nazwy niemieckie. Gubernator zabronił stanowczo używania ich w korespondencyi urzędowej.

Zbór starowierców. W maju r. b. w Kiszyniewie odbył się zjazd starowierców. Miał on na celu połączenie się dwóch sekt — „okrużników" z „nieokrużnikami." Do zgody nie przyszło.

Literatura. Ziołecki, polak, wydał w Opolu komentarz do starej literatury francuskiej. Rzecz napisana w języku niemieckim.

— Pojawiły się dwa wydawnictwa rodaków naszych. Witkowskiego: *Ein Beitrag zur polnischen Literaturgeschichte*, Lewińskiego: *Beiträge zur Kenntnis der religions-philosophischen Anschauungen des Flavius Josephus.*

— Powieść Kraszewskiego *Jermola*, przetłomaczono na język szwedzki z dodaniem krótkiego rzutu na piśmiennictwo nasze.

Bluźnierstwo religijne. Izba sądowa odeska na skutek apelacyi skazała mieszczanina z Niemirowa, Kryżanowskiego, za bluźnierstwo religijne na miesiąc aresztu policyjnego. Śmiał on publicznie powiedzieć, że chętniejby pocałował kobietę, która upiekła smakowity dla niego pieróg, niż obraz wiszący w rogu izby szynkownianej.

Proces polityczny. W dniach od 26 maja do 4 czerwca (wedlug *Praw. Wiest.*) na ławie oskarżonych sądu wojennego w Petersburgu zasiadło 21 podsądnych. Śledztwo im dowiodło całego szeregu przestępstw dokonanych lub zamierzonych, na majątku państwowym i osobach urzędowych, w myśl przewrotowych celów stowarzyszenia rewolucyjnego „Narodnaja wola." Oto ich lista imienna wraz z jakością występku i stopniem kary. Łopatin, dymisyonowany sekretarz kolegialny, 41 lat, Salowa, córka sztabs-kapitana, 26 lat, Suchomlin, syn urzędnika, 25 lat, stanowili grupę „centralno-rewolucyjnej organizacyi." Jakubowicz, kandydat uniwersytetu petersburskiego, 25 lat, stał na czele kółka „młodej partyi Narodnoj Woli," propagował konieczność rolnego i fabrycznego teroryzmu, a po aresztowaniu Łopatina zarządzał sprawami stowarzyszenia w Petersburgu i utrzymywał stosunki z rewolucyonistami zagranicznymi. Iwanow, syn radcy kolegialnego, 28 lat, tudzież Elko, mieszczanin mozyrski, 25 lat, jako przedstawiciele „organizacyi," działali na południu Rosyi, Starodworskij, syn księdza, 22 lat i Konaszewicz, syn asesora kolegialnego, 26 lat, należeli do zabójstwa podpółkownika żandarmów Sudiejkina. Antonow, mieszczanin nikołajewski, 27 lat i Wolnow, mieszczanin moskiewski, 29 lat, dwukrotnie napadali zbrojnie na pocztę pod Charkowem (1883 r. w październiku), przytem pierwszy z nich z namowy Elki tamże zamordował 1884 r. włościanina Szkriobę. Tenże sam z Kuzinem, synem radcy stanu, 21 lat i z Liwadinem, 20 lat, zrabował pocztę pod Woroneżem i zabił pocztyliona. Iwanow, Gejer, syn oberoficera, 25 lat, Kirsanow, urodzony w okręgu wojska duńskiego, 20 lat, włościanin berdiańskiego powiatu, Andrzej Bielousow, 26 lat, Eszin, 29 lat, z współudziałem Siemiona Bielousowa i Frenkla, mieszczanina kozieleckiego, 23 lat, przygotowywali w Ługańsku 1884 r. przyrządy wybuchowe. Dobruskina zaś, mieszczanka rohaczewska, 23 lat i Popow, mieszczanin nachiczewański, 23 lat, przechowywali je u siebie w Rostowie nad Donem. Łopatin i Jakubowicz brali udział w urządzeniu w r. 1884 tajnej drukarni w Dorpacie, gdzie był wydrukowany nr. 10 pisma „Narodnoj Woli." Sąd skazał 15 oskarżonych: Łopatina, Salową, Suchomlina, Iwanowa, Jakubowicza, Dobruskinę, Starodworskiego, Konaszewicza, Elkę, Antonowa, Wolnowa, Kuzina, Liwadina, Gejera i Popowa — na karę śmierci przez powieszenie. Eszina i Andreja Bielousowa do robót ciężkich na lat 4, z pozbawieniem praw stanu, Kirsanowa na czteromiesięczne więzienie, Frenkla, Siemiona Bielousowa i Lebiedienkę od odpowiedzialności uwolnił. Po zważeniu okoliczności łagodzących, skazano do robót ciężkich: Suchomlina i Wolnowa na lat 15, Kuzina na 12, Dobruskinę na 8, Elkę i Gejera na 4; na osiedlenie: Andreja Bielousowa do bardziej oddalonej Syberyi, Eszina, Popowa i Liwadina do bliższej Syberyi — Eszina, później, na wygnanie do gub. tomskiej z pozbawieniem szczególnych praw. W drodze Najwyższej łaski siedmiu podsądnym karę śmierci zmieniono na roboty ciężkie: Łopatinowi, Starodworskiemu, Konaszewiczowi, Antonowowi i Iwanowowi — bez terminu, Salowej na lat 20 i Jakubowiczowi na lat 18. Gejerowi roboty ciężkie zastąpiono zesłaniem do gub. tomskiej z pozbawieniem szczególnych praw.

Muzyka. Jan Brahms pisze operę na motywy polskich melodyj ludowych. Libretto ma być zaczerpnięte z dziejów węgierskich i polskich z czasów Władysława IV.

„Organ Polski." Pod tym tytułem w Paryżu w lipcu b. r. zacznie wychodzić czasopismo.

We Wrocławiu aresztowano akademika Jana Karpowicza, jako zawikłanego w proces, wytoczony tamecznym socyalistom.

W Rocella Jonica, koło Reggio, wybuchła cholera, zaniesiona z Katanii przez majtków.

Zmarli. Adolf Stahlknecht, znakomity skrzypek i kompozytor. Zmarł w Berlinie d. 6 lipca. Ur. 1813 r. w Warszawie, gdzie jego ojciec był solistą w orkiestrze opery narodowej. Nauki pobierał w Żoliborzu u pijarów, początków muzyki uczył go Krogulski.

— Leon Rozental, kierownik wielu instytucyj przemysłowo-finansowych w Cesarstwie. Znany był z gorliwego popierania oświaty wśród żydów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Biuru Gazet we Lwowie. Jakkolwiek byłoby przystojnem, gdybyście Panowie z kraju polskiego i do redakcyi polskiej przesłali zapytanie polskie, odpowiedzielibyśmy na niemieckie, gdybyśmy je mogli — odczytać. Niestety, wszystkie nasze wysiłki i domysły okazały się daremne. Stanowczo zmieńcie obecnego stenografa na możliwego kaligrafa.

P. A. L. w Paryżu. Sonety Pańskie są mocnym i zgrzytliwym dźwiękiem słów niespojonych w myśli jasne. Np.

> I śród nirwany strasznej tej apoteozy
> W mózgi nasze nicestwa egoizmem lenne
> I od trucizny życia pomarszczeń bezsenne
> Zabijających pytań cisną się położy,
> Po co żyjem? i po co te płomienne globy
> Uciekają w przestrzenie, jak posągi Nioby?

Co to jest? Co to są: „sklepienia ironii" — „ropa łez" — „twórcze lazury myśli" itd. itd. Ludzi się Pan, marząc o wawrzynach Danta.

P. G. B. Jakto, dziedziczenie majątków w linii zstępnej przez potomstwo cudzoziemca jest według Pana „nieograniczone"? W takim razie ukaz niczem nie groziłby tym, którzy już nieruchomości nabyli.

P. K. L. w Jar. Ani z korespondencyi, ani z wiersza korzystać nie możemy.

Bezimiennej 2. Nie znając ani uzdolnień, ani upodobań naukowych Pani, nie możemy radzić, w jakim „kierunku" ma się Pani dalej kształcić. „Kierunek" trzeba sobie wybrać samej.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko strzeżone do zwrotu zachowuje.

O g ł o s z e n i a.

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Broszurka bezpłatna — Gwarancya długoletnia

„EXSICCATOR"

Zabezpiecza **wszystko co z drzewa od gnicia**, niszczy **grzybek drzewny**, osusza **wilgoć** w starych domach i zabezpiecza **nowe. Dezinfekuje.** Zastępuje **olejną farbę** we wszelkich kolorach i tańszy od tejże o 50%

Inżynier **RITTER**, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuję agentów.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Student uniwersytetu poszukuje lekcyi na wyjazd lub w Warszawie. **Szczygla 5. m. 5.**

Dr O. Bujwid

Pięć odczytów o bakteryach

rys ogólnych zasad bakteryologii w zastosowaniu praktycznem.

Cena kop. 35, z przesyłką pocztową 45; dostać można we wszystkich księgarniach.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

SZKICE i OBRAZKI

Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego) tomów **cztery** z portretem autora.

Cena rs. 5.

W ozdobnej oprawie: **rs. 6 k. 20.**

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Іюля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.